Czas 2552/1980/1-26

ROK ZAŁOŻENIA 1933

kamena

LUBLIN 21 XII 1980 NR 26 (720) DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY PL ISSN 0137-7108 CENA 3 ZŁ

PRZED ZJAZDEM ZLP
Do zgody jeden krok
str. 13

Kariera? Kariera!
Waldemar Piasecki
str. 7

Krasnoludki i giganci
str. 2

CZŁOWIEK ZWIERZĄT
Anna Bocian
str. 12

Fot. Waldemar Stępień

Spokojnych Świąt życzy swoim Czytelnikom „Kamena"

Rozmowa z Krzysztofem Zanussim

MIROSŁAW DERECKI: — Kiedy przed miesiącem przeprowadzałem dla „Kameny" wywiad z Mają Komorowską, skupiliśmy się w naszej rozmowie przede wszystkim nad problemem jej ról w pańskich filmach, nad tą rozpatrywaną w różnych wariantach postacią kobiety wyrosłej z tradycji polskiej inteligencji, próbującą odnaleźć się w dzisiejszych czasach i uwarunkowaniach. To zaznacza się wyraźnie — od „Życia rodzinnego" po ostatnio nakręcony „Kontrakt". Kiedy później raz jeszcze zastanawiałem się nad tym zagadnieniem, uświadomiłem sobie wyraźnie, że w ogóle w pańskich filmach, zwłaszcza w tych ostatnich, rola kobiety staje się coraz bardziej dominująca, zaznacza się w nich w sposób coraz bardziej szczególny. Przecież nawet w „Constansie" — choć głównym bohaterem jest młody mężczyzna — epizodyczna, z pozoru, postać matki jest wyraźnym punktem odniesienia dla wielu poczynań bohatera, jego sposobu patrzenia na życie. Nie mówię już o „Kontrakcie", który w ogóle — mimo świetnie zagranych ról męskich — „zdominowały" kobiety z Mają Komorowską-Dorotą na czele. Kobieta zawsze uważana była za strażniczkę ogniska domowego; jest ona dzisiaj także nośnikiem wartości kulturowych, ideowych — czy to chce nam pan za pośrednictwem swoich filmów — między innymi — uświadomić?

KRZYSZTOF ZANUSSI: — Tak. Rola kobiety jest szczególna. Odpowiada ona za wielką sferę naszego życia. Nie tylko za szeroką sferę wartości codziennych. Uważam, że kobiecość jest także nośnikiem tego, co określamy mianem „inteligenckości". Dzisiaj bolejemy nad dramatem naszej inteligencji, która się „przeżywa", która mieszczanieje, która traci coraz bardziej przekonanie o swojej szczególnej misji wobec społeczeństwa. Jeżeli gnębi nas spostrzeżenie, że na styku inteligencji „starej" z nową inteligencją powstaje najczęściej produkt przypominający europejskie mieszczaństwo — to musimy sobie także uświadomić iż bastionów naszych najlepszych tradycji bronią bardziej kobiety niż mężczyźni. Może mężczyzn gubi tutaj fakt tak chętnego przywdziewania maski „racjonalizmu", może — paradoksalnie — większa „biologiczność" kobiety pozwala jej na

Dokończenie na str. 3

Marian Janusz Kawałko

PASTORAŁKA RODZINNA

zaświeć Gwiazdo i nad naszym stołem
choć spoważniał przez ostatnie lata
wszystkim ślepcom wiernych daj aniołów
w jedno światło połącz wszystkie
światła
zaświeć Gwiazdo
słowa nam wypogódź

wskaż prześmiewcom szopę betlejemską
na nich Maria oczekuje tam w połogu

tam największe rodzi się
królestwo

ześlij Gwiazdo opłatek nadziei
niech się bliźni do bliźniego przyzna

pogaś troski
uratuj z topieli

tu jest także i Twoja
Ojczyzna

zaświeć Gwiazdo
ochroń
unieś
przebudź
żeśmy w ziemię zasłuchani —
powiedz niebu

Aleksander Rozenfeld

* * *

tyle chmur naraz nad głową
śniegowych deszczowych gradowych
wiatr tnie nas historią po twarzy
przewraca — słabi jesteśmy
wobec czasu
nie potrafimy unieść ciężaru
słów tak — nie
zegar nad głową tak — nie
głowy zwieszone — oczy w płyty chodnika
tak — nie
potykamy się o słowa
nadziei pełni że na odpowiedź
będzie jeszcze czas jutro — codziennie mówimy jutro
modląc się byśmy nie musieli już dziś
stanąć do tego jakże trudnego egzaminu

12 XII 1980

z notatnika

5 XII. Zakończyło się VII Plenum KC PZPR, prasa publikuje dokumenty, wśród nich odezwę do narodu: *Ważą się losy narodu i kraju! Przedłużające się niepokoje doprowadzają naszą Ojczyznę do krawędzi gospodarczego i moralnego wyniszczenia. Jego skutki mogą okazać się groźne dla naszych podstawowych narodowych interesów.* Odezwa, chwilami dramatyczna w swej wymowie, wzywa do skupienia się wszystkich realistycznie myślących ludzi wokół wspólnej linii rozsądku i odpowiedzialności.

Nadzwyczajny Zjazd PZPR odbędzie się na przełomie pierwszego i drugiego kwartału 1981 roku.

Wśród uchwał jest i ta, którą poświęcono odpowiedzialności Edwarda Gierka i Piotra Jaroszewicza. *Najważniejszym błędem tow. Edwarda Gierka było stworzenie sprzecznego z zasadami partii układu stosunków i metod działania w kierownictwie partii. Sprzyjał on intryganctwu oraz zastępowaniu rzeczywistej demokracji pozorami.* Tow. E. Gierek został odwołany ze składu KC. Jeśli chodzi o tow. P. Jaroszewicza, to mówi się o nim: *Mając dominujący wpływ na politykę społeczno- gospodarczą w całym dziesięcioleciu, w szczególności odegrał on kluczową rolę w lansowaniu przekraczającej możliwości kraju i niespójnej wewnętrznie polityki inwestycyjnej i w powiększaniu zadłużenia kraju...* Komitet Centralny zobowiązał Centralną Komisję Kontroli Partyjnej do rozpatrzenia sprawy tow. Piotra Jaroszewicza i powzięcia decyzji co do jego przynależności do partii.

Realizacja uchwały nie zapełni półek sklepowych i nie uzdrowi naszej chorej gospodarki. Ma ona jednak wielkie znaczenie dla ocieplenia klimatu, wzmocnienia morale członków partii. Unaocznia jednocześnie całemu narodowi, że sprawiedliwość jest jednak równa wobec wszystkich. I to jest ten akcent optymistyczny w sprawie, która w sumie jest przerażająco smutna. I rację ma Władysław Machejek, który mówił na Plenum Komitetu Krakowskiego PZPR (cytuję za „Gazetą Południową" z 3 grudnia): *Naród chce wiedzieć, co jest prawdą, a co nie jest prawdą w bogactwach* (umownie) *Gierków i Jaroszewiczów. Co to jest Klarysew, co to jest Promnik, do których to posiadłości zbudowano wielopasmowe autostrady ok. 30 km za Warszawą. Pałace, ogrody, lasy. Ale prezydent USA rozporządza rezydencją w Camp David, zaś papież w Castel Gandolfo — i opuszczają ją wraz z końcem kadencji. Jeśli Klarysew i Promnik to własność prywatna, trzeba spytać, skąd pieniądze..., jeśli zaś państwowa, to należy publicznie podyskutować o ich dalszym przeznaczeniu.*

Myślę, że takie małe, malutkie Klarysewy i Promniki, wybudowane — powiem delikatnie — w sposób niezgodny z przepisami, mamy również na Lubelszczyźnie (w jej starych granicach!). Poszczególnych ludzi już się rozlicza. Może powoli, ale jednak... Rozumiem, że wszystko trzeba dokładnie sprawdzić, aby nikomu nie stała się krzywda. Niekiedy odnoszę jednak wrażenie, że poszczególne dochodzenia ślimaczą się. Nie sądzę, by NIK i inne organy kontrolne otrzymały dodatkową liczbę etatów i dlatego wydaje mi się, że trzeba szerzej sięgnąć do uczciwych ludzi z zewnątrz, którzy społecznie pomogliby w wykryciu nadużyć. Po prostu potrzebne są działania ofensywne, które uwiarygodnią proces odnowy na naszym terenie. I przetną węzły kumplostwa.

11 XII. I sekretarz KW PZPR w Lublinie, zastępca członka Biura Politycznego KC, Władysław Kruk, spotkał się dzisiaj z kierownictwami redakcji i egzekutyw POP ze środków masowego przekazu. Wspólnie spędzono 210 minut, a były to minuty wzajemnej szczerości i zapewne wszyscy jakąś korzyść odnieśli.

W dyskusji lekko uszczypnąłem „Sztandar Ludu" za co później otrzymałem od Tadzia Kwaśniewskiego propozycję przyjścia do pisma na ryczałt w charakterze eksperta z wynagrodzeniem w wysokości 153 (!) złote miesięcznie. Nim się namyślę, chciałbym Tadziowi zaprezentować tytuły, tylko tytuły, i to nie wszystkie, z „Gazety Południowej" z dnia 9 grudnia 1980 roku:

1) Wielopiętrowy absurd. Zboża dość w magazynach. 100 młynów stoi. GS-owskie — nie pracują. Polskie ziarno mielemy w Czechosłowacji. A my dalej szukamy.

2) W PTSŁ-5 ludzie chcą znać prawdę. Talon dla synusia, dwa dla znajomego i urlopy ... z gumy.

3) Dziennikarze nie chcą być tylko kibicami.

4) NIK odsłania tajemnice. Kto mieszka w luksusowych willach a kto za ich budowę płaci? Sąsiedzkie zawiści czy rzeczywiście nadużycia?

5) Odejść — ale jak? J. P. Gawlik rezygnuje z funkcji dyrektora Teatru Starego.

6) Bydło ryczy, bo mu zimno. Zakłady „zaskoczone" zwiększoną podażą. GS-y cierpią na nadmiar mięsa?

7) Sesja WRN w Nowym Sączu i Tarnowie. Radni żądają konkretów — dyrektorzy operują ogólnikami.

8) Z biurowca NOT-u akademik?

9) Statut nie przewiduje przywilejów.

10) Zmarnowane miliony złotówek.

11) Władze wydają sprzeczne decyzje. Czy można hodować świnie w rezerwacie?!

12) „Możemy wydzielić 2 sklepy dla 10 tys. osób". Czy emeryt kupi wędlinę na święta?

13) Kaloryfery pękają, a nowych na wymianę brakuje.

14) Administracja musi odzyskać zaufanie ludzi.

Kropki pododawałem dla lepszej orientacji. A od wyciągania wniosków to już nie jestem ja. Nie mniej tenże Tadzio mówił na spotkaniu o trudnościach przy redagowaniu „Sztandaru Ludu", który wychodzi dla czterech województw. Jego zdaniem odnowa w Lublinie — powiem to bardziej obrazowo — biegnie, a w pozostałych województwach ciągnie się noga za nogą.

Nie wiem, czy jest właśnie tak. Czytuję bowiem również ostre komentarze Andrzeja Szwabego w „Tygodniku Zamojskim". Autor nie używa sympatycznego atramentu. A z „Tygodnika Chełmskiego" dowiedziałem się o wielogodzinnym, kontrowersyjnym spotkaniu miejscowego wojewody z przedstawicielami „Solidarności".

Jedna jaskółka wiosny nie czyni. Prawda. Do wiosny mamy zresztą jeszcze daleko. No i na wiosnę może się ostatecznie okazać, kto miał właściwie rację. Osobiście znam takich, którzy chcieliby tę zimę, jak niektóre zwierzęta, po prostu przespać, a potem zawołać: „a nie mówiłem!".

12 XII. No i bądź tu, człowieku, mądry! Najpierw był wielki szum w prasie, telewizji, radiu na temat wyczynu naszych reprezentacyjnych piłkarzy — Młynarczyka, Bońka, Żmudy i Terleckiego. Ostatecznie cała ta czwórka powróciła do Polski, a do Włoch pojechała dwójka działaczy PZPN i zawodnicy rezerwowi. Nie minęło kilka dni, a już klub „Widzew", który nie czekając na decyzję PZPN uprzednio zawiesił w prawach zawodników Młynarczyka, Żmudę i Bońka, wystąpił o odwieszenie Żmudy i Bońka stwierdzając, że *nie miały miejsca wystąpienia ze strony zawodników o charakterze buntu lub szantażu.*

W łódzkich „Odgłosach" czytam: *Muszę się przyznać, że gdy zaczyna migać plansza Dziennika Telewizyjnego, coraz częściej mam ochotę zasłaniać oczy i zatykać uszy. Nawet nadzieja, że wiadomości sportowe będą jakimś wytchnieniem, przestaje mieć rację bytu. Dziennikarze sportowi, chcąc w sposób zdecydowany włączyć się do procesów odnowy, wywołali aferę, od której mi cierpnie skóra jeszcze dzisiaj. Incydent z Okęcia (jakie przybrał rzeczywiście formy, mówił o tym Zbigniew Boniek w rozmowie z Markiem Madejem w łódzkich „Wiadomościach") wywołał u warszawiaków niepohamowany atak Schadenfreude. Telewizja powtarzając „kawałek" cinema varieté autorstwa redaktora Gucwy bodaj dwukrotnie, teraz coś zamilkła i nie jest skora do przedstawienia nagranej przed kilkoma dniami rozmowy ze Zbigniewem Bońkiem. Obiektywizm nigdy nie był mocną stroną sprawozdawców z TvP. Ostatnia „afera" to spostrzeżenie całkowicie potwierdza...* Tak pisze Grzegorz Gazda. A znów w „Kulisach" tej samej sprawie poświęcają swój tekst („Huzia na Józia") Janusz Atlas i Andrzej Zawisza. Ich konkluzja: *Chyba Zarząd PZPN dał się trochę zwariować. Te narady przy drzwiach zamkniętych, blade twarze działaczy, nadzwyczajne wyjazdy decydentów w trybie nagłym do Włoch na negocjacje ze zbuntowanymi, „twarde" rokowania z zawodnikami. Kilkadziesiąt poważnych osób zaangażowanych w szukanie finału dla wizyty bramkarza w knajpie. Czy nie są to działania pozorne dla pokazania jacy to jesteśmy dziś (!) pryncypialni, czyści w nurcie odnowy?*

Nie czytałem o czym mówił Boniek Markowi Madejowi, nie wiem, po co Telewizja nagrywała wywiad z Bońkiem, skoro go, to znaczy wywiadu, dotąd nie puściła (a może przegapiłem?). I nie wiem, naprawdę nie wiem, kto teraz z kogo struga wariata? Wyjaśnijmy wreszcie sprawę do końca. Jest a f e r a czy „a f e r a"?

13 XII. Po raz drugi już redakcja kulturalna TV z Warszawy zaprosiła kilka osób, wśród nich niżej podpisanego, aby podyskutować o lubelskich sprawach. Przed dziesięcioma dniami kamera odmówiła posłuszeństwa i teraz — w siedzibie szacownego Muzeum Czechowicza miała odbyć się powtórka. W tzw. międzyczasie kamerę odwieziono do stolicy, gdzie zajęli się nią spece. Teraz okazało się, że to byli nie fachowcy, ale fuszerzy. Po kilku minutach pracy kamera zaczęła piszczeć, jakby w ten sposób chciała wyrazić swoje własne zdanie na temat kultury w naszym mieście. Próby operatorów mające na celu anulowanie zakłóceń nie powiodły się i dyskusja p o r a z d r u g i do skutku nie doszła.

Oczywiście szanowna redakcja kulturalna TV mogłaby przywieźć kamerę z Warszawy. No, ale wiadomo, że cały kraj dzisiaj oszczędza: po co ściągać sprzęt i ludzi z Warszawy, skoro Lublin ma własną kamerę? Rzeczywistość jednak skrzypi, miejscowy sprzęt przypomina epokę Piastów, Krwawy Maciej i z czasów postjagiellońskich, zdetronizowany w czasie burzy i naporu, bardziej zajęty był sobą niż telewizyjnym królestwem. Lublin nigdy nie leżał mu po drodze, a gdy kiedyś wpadł do tego miasta, nie raczył nawet odwiedzić podległej mu placówki. Oczywiście trudno z góry powiedzieć (a właściwie — z dołu powiedzieć!) czy jego wizyta zapisałaby się złotymi zgłoskami... Ale to już dygresja.

Wniosek jest jednak jeden: zanim zaczniemy mówić o rozwoju lubelskiej kultury, podejmijmy temat kamery.

M. A. Jaworski

NA EKSPANS

Krasnoludki i giganci

ŚWIĘTA mają w sobie coś z baśni. Któż z nas nie wierzy, że zwierzęta przemówią ludzkim głosem, a skrzaty położą prezenty pod choinką? Zła to pora do rozmów o ekonomii. Porozmawiajmy zatem o krasnoludkach.

Krasnale wiele mogą. Pokonały Gulliwera i są jedynym antidotum na akromegalię, czyli niebezpieczną chorobę polegającą na nadmiernym rozroście niektórych organów. Atakuje ludzi, bywa niebezpieczna dla gospodarki. Objawy jej pojawiły się w trzech miejscach. Dotknęły cele, przedsięwzięcia i organizacje gospodarki.

W latach dwudziestych w sporze o istotę planowania zwyciężyło stanowisko teleologiczne. Sprowadzało się ono do formułowania maksymalnych zadań planu i mobilizowania, przez „ponadnormalną" akumulację, środków dla ich realizacji. Praktycznym tego spełnieniem były stalinowskie plany przebudowy przyrody, a później nasz plan 6-letni. Zapoczątkowany przez Preobrażeńskiego i Bucharina spór o „rewolucyjną" lub „ewolucyjną" metodę rozwoju gospodarki trwa nadal. Nie jest to chyba spór rozwiązywalny. Zapewne teorie „stromego startu", „forsownej industrializacji" były słuszne w momencie wychodzenia z zacofania gospodarczego. Konsekwentne trzymanie się tej drogi (co wyraża się w tzw. planowaniu na styk) nie może chyba jednak wróżyć sukcesów na długi dystans.

Formułowanie celów takich, jak: „Zbudujemy drugą Polskę", „Przekopiemy drugą Wisłę" jest w gruncie rzeczy powielaniem scenariusza rozwoju lat pięćdziesiątych. Jego wcielanie w życie powoduje jednak dzisiaj znacznie większą akromegalię. Możliwości inwestycyjne gospodarki są bowiem o wiele większe, co stwarza możliwości realizowania super-gigantycznych przedsięwzięć. Budowanie kolosalnych obiektów nie jest zresztą sprzeczne z racjonalnością ekonomiczną. Przeciwnie, dzięki tzw. efektowi skali może, poprzez obniżkę kosztów stałych, być bardzo opłacalne. Pod jednym warunkiem: nie wszystkie przedsięwzięcia mogą być wielkie. Oszczędności zanikają i wręcz stają się ujemne po przekroczeniu technicznych możliwości inwestycyjnych gospodarki. Jest to moment, w którym „ponadnormalnej" akumulacji finansowej nie można już zamienić w efekty rzeczowe.

Gigantyczne przedsięwzięcia wymagają rozbudowy struktur organizacyjnych. Nieszczęście polega na tym, że więzi łączące podmioty gospodarujące rosną szybciej od ludzkiej zdolności tworzenia nowych organów zarządzających i koordynujących. I chyba jedynie temu zawdzięczamy fakt, że mamy tylko trzy razy więcej ministerstw niż USA. I mimo, że decydentów jest coraz więcej, coraz więcej procesów gospodarczych wymyka się spod kontroli.

Pojawia się stan, który już dawno opisał prof. Zieleniewski: „Ów nadmiar ładu, który polega na powszechnym regulowaniu, stwarza przestępstwa, przekroczenia, trudności w działaniu organów społecznych oraz wąskie przejścia. Nadmiar ładu stwarza też konieczność nadmiaru kontroli. Wszyscy, wszędzie i zawsze są kontrolowani przez wiele organów kontrolnych. Przestaje działać aparat samokontroli, ulega osłabieniu postawa inicjatywy, śmiałości i ryzyka. Panuje rutyna i asekuranctwo. Każdy, komu wyznaczono podejmowanie decyzji i ponoszenie odpowiedzialności, czuje się jak potencjalny przestępca. Wytwarza się brak ufności we własne siły, obawa przed odpowiedzialnością, zwalanie jej na szczeble nadrzędne. Ulegają zniszczeniu lokalne ośrodki inicjatywy, giną niewykorzystane pokłady pomysłowości i twórczego działania. Coraz bardziej skomplikowany staje się aparat władzy i decyzji. Coraz więcej ludzi pracuje w koordynacji i planowaniu, które w coraz większym stopniu staje się czystą rejestracją".

No tak, ale co z tym wspólnego mają krasnoludki? To, że krasnoludek polski tym różni się od analogicznego krasnoludka zagranicznego, iż jest znacznie, ale to znacznie większy.

emzet

P. S. Wyjaśnienia wymaga tytuł tej rubryki. Został on zaczerpnięty z terminologii brydżowej. Oznacza zagranie, w którym straty na pewno wystąpią, ale są małe. Jego przeciwieństwem jest impas, który może dać większy zysk — chociaż wiąże się z większym ryzykiem. Porównanie gospodarki z brydżem nie jest może najszczęśliwsze, gdyż w brydżu jesteśmy potęgą, ale skoro już doszukujemy się paralel, to proponujemy następujące hasło: „skoro znajdujemy się w impasie — grajmy na ekspans".

Rozmowa z Krzysztofem Zanussim

Dokończenie ze str. 1

silniejsze trwanie w sferze wartości pozautylitarnych? Coś w tym jest... Wie pan, kiedy byłem na Haiti, zafascynowała mnie sprawa wytropienia śladów polskości na tej wyspie: dotarcia do potomków owych żołnierzy i oficerów napoleońskich, wysłanych tutaj dla stłumienia powstania kolorowej ludności. Wiadomo przecież, że część naszych legionistów nie wróciła do Francji i założyła tutaj rodziny. Spotykałem Kreolki o błękitnych oczach, doszukałem się nawet pewnych elementów architektonicznego podobieństwa dachów miejscowych chat do wiejskich domów budowanych na Mazowszu, wielu tubylców miało świadomość, że płynie w nich kropla polskiej krwi. Ale to było wszystko. Nie zauważyłem ani śladu polskiego obyczaju, polskiej tradycji kulturowej, nawet najdrobniejszego elementu kojarzącego się z „polską" tradycją religijną... To było zupełnie niepodobne do sytuacji, którą można obserwować w wielu innych miejscach na świecie. I wtedy ktoś z miejscowych powiedział mi: „Dziwi się pan? Przecież tamci napoleońscy Polacy z przełomu osiemnastego i dziewiętnastego wieku nie przywieźli ze sobą k o b i e t!" Wszystko stało się zrozumiałe i oczywiste: zabrakło tych, które są rzeczywistymi nosicielkami kultury i tradycji.

MIROSŁAW DERECKI: — Wydaje mi się, że w naszych filmach ostatniego okresu zastanawiająco często dochodzi do głosu właśnie ów „czynnik kobiecy", stawiany zresztą w różny sposób i rozpatrywany w różnym aspekcie. Weźmy na przykład „Panny z Wilka" Andrzeja Wajdy z — wydawałoby się marginesowo potraktowaną — postacią Kazi, odtwarzaną przez Krystynę Zachwatowicz. Weźmy bohaterki „Kung-fu" Janusza Kijowskiego, „Szansy" Feliksa Falka, „Aktorów prowincjonalnych" Agnieszki Holland czy nawet postać żony z „Amatora" Krzysztofa Kieślowskiego. Występują tam kobiety niby na marginesie toczących się „męskich" spraw i problemów, ale przecież obecność kobiet jest w owych filmach bardzo istotna, licząca się, warunkująca.... Nie mówiąc już o filmach Zbigniewa Kamińskiego, który „specjalizuje" się w temacie „kobiecym"...

KRZYSZTOF ZANUSSI: — Tutaj może byłaby na miejscu refleksja nad problemem zmieniania się, przekształcania rodziny, stosunków międzyludzkich... Każda kultura to dzisiaj przeżywa, i u nas także to zagadnienie rysuje się w sposób bardzo wyrazisty. Jak się znaleźć w tym wszystkim: że przeżywa się instytucja małżeństwa, że dzieci masowo odchodzą od rodziców, że walą się dawne konstrukcje rodzinne i nie widać jakoś nowych, które mogłyby im sprostać lub je zastąpić... Naród, społeczeństwo przeżywa to wszystko bardzo głęboko i nic dziwnego, że takie właśnie treści i problemy pobrzmiewają, mniej lub bardziej silnie, ale stale, w naszym kinie.

MIROSŁAW DERECKI: — Jeżeli już jesteśmy przy filmach młodych twórców, przedstawicieli „kina moralnego niepokoju", w którego kręgu przecież silnie tkwią także i pańskie filmy, chciałbym zwrócić uwagę na zdanie Krzysztofa Teodora Toeplitza, wyrażone w artykule „Film — społeczeństwo — przyszłość", zamieszczonym w dziesiątym numerze miesięcznika „Kino". Otóż Toeplitz, znany przecież ze swej pozytywnej opinii o nowym polskim kinie, zastanawia się m. in. „nad kwestią niebezpieczeństw i zagrożeń, przed jakimi staje nowe kino polskie". Dla mnie, jako dziennikarza, szczególnie cenne jest wskazanie tutaj na pewną paralelę z reportażami prasowymi, i to tymi, nawet wysokiego gatunku, które ukazują się w pismach takich jak „Polityka" czy „Kultura", które — zdaniem Toeplitza — „spełniając często bardzo uczciwie swoją misję penetracji społecznej, nudzą przez swój brak perspektywy intelektualnej..." „Dowiaduję się — pisze dalej KTT — że jakiejś nauczycielce w miejscowości X stała się krzywda, albo w jakimś zakładzie w miejscowości Y dzieje się coś niedobrego. Cenię to jako sygnał społeczny, ale równocześnie jestem jakby „mądrzejszy" od reportera... Reportaż w Polsce dostarcza w ogromnej swej masie jedynie egzemplifikacji, przykładów dla zilustrowania ogólniejszych procesów, których istotę znamy bądź z autopsji bądź z jakichś innych lektur. Jego odkrywczość faktograficzna nie jest jednoznaczna z odkrywczością intelektualną lecz pozostaje za nią w tyle. Co gorsza, nad wyraz często pozostaje w tyle za odkrywczością intelektualną samego odbiorcy, który wiele spraw już zna i sam je sobie przemyślał". I tutaj Toeplitz wskazuje na pański „Constans" jako film, który, rysując obraz naszego społeczeństwa w sposób sui generis „reportażowy", potrafi zarazem właśnie zejść „głębiej, ku warstwie drugiej, autentycznej", i uważa, że pan tym filmem wskazuje drogę nowemu polskiemu kinu.

Repr. z „Kina" 1978 (nr 2)

KRZYSZTOF ZANUSSI: — Naprawdę trudno mi się tutaj zastanawiać, porównywać z innymi kolegami. Mogę powiedzieć jedno: na pewno interesują mnie najbardziej te przemiany wartości i te przemiany sposobu życia, które dają się rozpatrywać w sposób bardziej uniwersalny.

MIROSŁAW DERECKI: — Jednak w tym rozpatrywaniu opiera się pan bardzo konkretnie na n a s z y m tu — polskim — gruncie, wpisuje je pan ściśle w n a s z e współczesne polskie realia. „Struktura kryształu", „Iluminacja", „Spirala" — mogłyby się dziać, na dobrą sprawę, na każdym miejscu na ziemi, ale nie — „Barwy ochronne", nie — „Constans", nie — „Kontrakt"! Cokolwiek by pan powiedział o ich „uniwersalności", i tak uwierzę panu tylko częściowo! Nie wierzę już też w Zanussiego, tego młodego reżysera sprzed lat kilkunastu, który „chłodnym" spojrzeniem obserwował i analizował postaci ludzkie i ich zachowanie — w swoich filmach. A może zbyt pochopnie opatrzono pana kiedyś etykietką „chłodności"? Mnie się wydaje, że Krzysztof Zanussi, z filmu na film, staje się coraz bardziej „gorący"! To także przekonanie bardzo wielu pańskich widzów... Że się pan bardzo zaangażował w to wszystko, co się wokół nas dzieje.

KRZYSZTOF ZANUSSI: — Cieszyłbym się bardzo, gdyby było takie ogólne przekonanie. No cóż, sprawa „gorączości" to nierzadko wynik lat emocjonalnego dojrzewania, także kwestia pewnej odwagi, która kształtuje się w bardzo nieraz specyficznych okolicznościach, w ciężkich zmaganiach — nie tylko z artystyczną materią tego, co chciałoby się wyrazić... To także sprawa dorośnięcia do pewnego ryzyka. Takim ryzykiem był dla mnie na przykład „Constans" — jak przyjmie go publiczność, jak ustosunkuje się do jego „pozytywności", do jego przesłania? Ja wierzę bardzo, że jest czas, żeby coś ważnego budować, żeby o potrzebie budowania tego c z e g o ś w sobie — mówić... Ale jak się ustosunkuje do tego publiczność? O wiele łatwiej jest negować w sztuce, trzeba zaś wielkiej siły i talentu, żeby apelować o coś lepszego, i na przykład Wajda pozwolił sobie na taką rzecz w „Człowieku z marmuru", i to mu się udało.

MIROSŁAW DERECKI: — „Constans" i „Kontrakt" ma pan już za sobą. Teraz prasa donosi, że przystąpił pan do realizacji filmu „Z dalekiego kraju", którego treść wiąże się z osobą Karola Wojtyły, obecnego papieża Jana Pawła II, a akcja toczy się na polskiej ziemi. Czy to będzie, jak zwykle u pana, film tyczący się problemów polskiej inteligencji?

KRZYSZTOF ZANUSSI: — No, niezupełnie. Tym razem pragnę spojrzeć szerzej, na problemy nurtujące ogół naszego społeczeństwa w przeciągu ostatnich kilkudziesięciu lat.

MIROSŁAW DERECKI: — Z wywiadu, jakiego udzielił pan przedstawicielom włoskich dzienników „La Republica" oraz „Corriere della Sera", można dowiedzieć się, że kręcony w Polsce film powstaje na zamówienie włoskiego producenta Giacomo Pezzaliego, a grają w nim głównie aktorzy angielscy, i tylko w drugoplanowych rolach wystąpią aktorzy polscy, m. in. Maja Komorowska, Daniel Olbrychski i Zbigniew Zapasiewicz. Według tej informacji, film „Z dalekiego kraju" nie jest „biografią Karola Wojtyły, obecnego papieża Jana Pawła II, nawet jeśli nawiązuje do rzeczywistych faktów z jego życia. Założeniem twórcy filmu jest bowiem ukazanie środowiska, w którym żył przyszły papież, jego przyjaciół i całego pokolenia urodzonego w latach dwudziestych naszego wieku, wydarzeń z jego życia aż po konklawe w 1978 r. Film kończy się zdjęciami z pielgrzymki Jana Pawła II do ojczyzny, w czerwcu 1979 r.". Tyle mniej więcej — fragmentaryczna informacja. Rozmawiałem wczoraj z Janem Józefem Szczepańskim, który, wraz z Andrzejem Kijowskim, jest autorem scenariusza. Opowiadając mi treść scenariusza, mówiąc o jego dwóch nurtach: „plebejskim" i „inteligenckim", których bohaterowie stykają się w ciągu kilkudziesięciu lat, i to w różnych sytuacjach, z osobą i działalnością Karola Wojtyły, aż do „kontrapunktowego" przecięcia: sprawy budowy kościoła w Nowej Hucie — Szczepański wspominał także o ewolucji, jaką przechodził pomysł genetyczny „Z dalekiego kraju"...

KRZYSZTOF ZANUSSI: — Mogę panu tyle dodać, że podejmując się realizacji filmu, kierowałem się także pobudkami patriotycznymi. Czy wyobraża sobie pan, jak by zrealizował taki obraz na przykład reżyser amerykański? Co by z tego zrobił? Życie wybitnej jednostki można pokazywać w różny sposób, nawet bardzo rzadko, i tylko z daleka, pokazując głównego bohatera — tak jak my to w danym wypadku robimy. W naszym filmie Jan Paweł II pojawia się z bliska tylko we wstawkach dokumentalnych. Główny nacisk kładziemy na pokazanie środowiska i kraju, w którym wzrastał, uwarunkowań i zdarzeń, jakie kształtowały jego osobowość, i charakter narodu, z jakiego się wywodzi. To wydaje mi się bardzo ważne: wszak film „Z dalekiego kraju" jest adresowany przede wszystkim do publiczności zagranicznej. Do tego widza, który w większości nie zna ani naszej historii, ani naszych problemów, który po prostu nie rozumie wielu rzeczy tyczących Polski, o jakich dowiaduje się z informacji w swoich środkach masowego przekazu.

MIROSŁAW DERECKI: — *Czy nie uważa pan jednak, że takie „historyczno-dydaktyczne" założenie, choćby najzręczniej zrealizowane, nie obniży jakoś jednak artystycznych walorów filmu?*

KRZYSZTOF ZANUSSI: — Tak, w jakimś sensie może obniżyć, i zdaję sobie z tego sprawę. Nie zaprzeczę też, że „Z dalekiego kraju" jest raczej „na bok" od mojej linii twórczej. (Ale jeśli się okaże po zrealizowaniu, że niezupełnie, to będę się bardzo cieszył). Domyślam się przecież, o co panu chodzi. Co ja myślę — czy to jest film „ambitny"? Odpowiem panu: tak. Ten film jest ambitny przez to, że ma on wskazywać w sposób popularny na to wszystko, z czego wyrosła kultura polska.

Kamena str. 3

KOMU FABRYKĘ?

Stanisław Strelnik

WIEŚ przechodziła różne budowlane koleje. Rolnicy zaopatrywali się w materiały budowlane jak mogli — jeden wyprosił, inny otrzymał z przydziału, inny po prostu zdobył. Naczelnicy gmin dysponowali tak znikomymi przydziałami, że i kilka domów trudno było w ciągu roku zbudować. Szukano więc rozwiązania w uruchamianiu polowych cegielni, którym później ktoś „mądry" podatkami głowy poukręcał. Szukano rozwiązania w prywatnym, chałupniczym wyrobie pustaków, ale nikt ze wsi nie mógł sobie zamówić odpowiedniej ilości prefabrykatów, elementów budowlanych, które wyspecjalizowana firma przewiozłaby na miejsce i zmontowała. Budownictwo ogólne rozwiązywało sobie problem inaczej, tworząc w tym celu całe zaplecze z fabrykami domów włącznie.

Właśnie w ubiegłym dziesięcioleciu resort budownictwa ogólnego, równie cierpiący na chroniczny brak materiałów, upatrywał rozwiązanie wszystkich bolączek w fabrykach domów, których dzięki temu mamy w kraju 171, a 11 nowych powstaje nadal z różnym szczęściem. Dobrze się jednak stało, że dalszy program budowy tych kosztownych obiektów wstrzymano. Fabryki te wręcz pożerają i tak stale brakujący cement i kruszywo, ledwo dochodzą do 50 procent zdolności produkcyjnych, wymagają niekończących się remontów itp. W rzeczywistości nie są to zresztą fabryki, ponieważ nie produkują domów, - tylko ich skorupy — jeśli wszystko idzie w miarę zgodnie z ich programem i technologią.

Trudno powiedzieć, czy to dobrze, czy raczej źle, ale fabrykami domów resort rolnictwa zaraził się od resortu budownictwa. I kiedy koniunktura była sprzyjająca, zaczęto upatrywać w nich radykalny środek na zlikwidowanie stałego dotychczas braku materiałów i elementów budowlanych, zwłaszcza dla budownictwa inwentarskiego i mieszkaniowego w gminach i pegeerach. Jedną z fabryk (Zakład Elementów Prefabrykowanych dla Rolnictwa) zlokalizowano pod lasem za Niemcami, w połowie drogi do Lubartowa. Buduje się ją już ponad 5 lat, a końca tego przedsięwzięcia nie widać. Miała być gotowa w 1978 roku, później w 1979, jednak ostateczny termin uruchomienia ustalono decyzją ministerstwa na 30 czerwca 1981 roku. Jeśli nawet zostanie on dotrzymany, to z doświadczeń innych fabryk domów wynika, że do pełnej zdolności produkcyjnej zakład dojdzie nie szybko, jeśli w ogóle dojdzie choćby do połowy. Już dziś wyłania się wiele problemów, które spędzają sen z oczu przyszłym użytkownikom — — Zjednoczeniu Budownictwa Rolniczego w Lublinie i podlegającemu Zjednoczeniu — Przedsiębiorstwu Produkcji Pomocniczej i Montażowej, właścicielowi fabryki. W tych jednostkach gospodarczych już nie bardzo się wierzy, że uda się skompletować potrzebne 300 osób załogi (betoniarzy, a zwłaszcza mechaników), że rozwiąże się problem transportu gotowych wyrobów, często na znaczne odległości, że wreszcie zapewni się ciągły dopływ wszystkich materiałów, chociaż kruszywo będzie się miało tuż pod ręką w przesypowni; a gdy się to wszystko jeszcze podliczy, otrzymane wyniki nie będą całkiem zgodne z rachunkiem ekonomicznym. Może jednak warto dopłacać do tego interesu, jeśli w dalszych i oczekiwanych skutkach w sklepach pojawi się dostateczna ilość żywności, dostarczonej przez rolnictwo wyposażone w nowoczesne budynki inwentarskie i inne?

Fabryka domów w Niemcach posiada z grubsza ustalony program produkcji. W ponad 35 proc. będzie wytwarzać elementy dla budownictwa inwentarskiego (21 tys. m sześć). oraz w 39,4 procentach elementy dla budownictwa mieszkaniowego na wsi (23 tys. m sześć.). Nie jest to program już całkowicie pewny, ponieważ w Zjednoczeniu mówi się o znacznej przewadze produkcji elementów przystosowanych do budownictwa mieszkaniowego, gdy kwestia budownictwa inwentarskiego ma być raczej marginesowo potraktowana. Dobrze byłoby jednoznacznie wyjaśnić te sprawy. Tak czy inaczej w końcowym rachunku PGR-y lub gminy powinny dzięki fabryce domów w Niemcach rocznie otrzymywać trzydzieści jeden 18-rodzinnych budynków mieszkalnych. Jednak plan całego Zjednoczenia Budownictwa Rolniczego mówi o 16 budynkach mieszkalnych w przyszłym roku. Co będzie z nadwyżką, jeśli taka powstanie?

Na tym nie koniec programu fabryki, ponieważ systemem poligonowym produkować się będzie najpierw 6 tys. m sześc. betonu towarowego rocznie, a po uruchomieniu drugiego poligonu — 15 tys. m sześć. I tu się zaczyna pierwszy poważny szkopuł. Beton można wywozić na budowy „Starbetami" lub „Jelczbetami" o pojemności gruszki 2 i 6 m sześć. na bardzo ściśle określone odległości. Nie dalej, zdaniem specjalistów, niż 30 km i to w bardzo sprzyjających warunkach atmosferycznych. Pojazdy te, zwłaszcza „Jelczbety", mają też inne wymagania: muszą jeździć po dobrych drogach, inaczej szybko diabli wezmą taki samochód, którego wartość przekracza 2 mln zł. Czy opłaci się zatem budować drogę do każdej miejscowości, w której trzeba realizować większą czy mniejszą inwestycję, jeśli takiej jeszcze nie ma? Czy opłaci się rozjeździć te drogi, które są? Czy w ogóle opłaci się takie przedsięwzięcie, jeśli jeden kurs „Jelczbeta" z Lublina do Lubartowa z betonem i pusto z powrotem kosztuje około 9000 zł?

Jeszcze bardziej skomplikowanym problemem będzie wywiezienie 15 500 elementów rocznie, przeznaczonych na budynki inwentarskie i mieszkalne. Do tego również potrzebne są pojazdy o specjalnym charakterze, których i teraz budownictwo w potrzebnych ilościach nie posiada. Owszem, można na dalsze trasy (powyżej 50 km) wywozić elementy transportem kolejowym. Nawet w tym celu zakupiono pociąg (na własność), ale i to nie rozwiązuje kłopotów rozładunkowych i transportowych.

Na zmontowanie jednego budynku mieszkalnego, 18-rodzinnego o dwu piętrach, trzeba dowieźć około 500 elementów, a wiadomo przecież, że 70 procent z nich to właśnie te najcięższe: ściany i stropy. Stąd proste wyliczenie wskazuje, że właśnie transport, załadunek i rozładunek będą podwajać koszt jednej płyty. A zatem czy stać nas na tak drogie budowanie, nawet przy założeniu, że dla podniesienia produkcji rolnej wiele się opłaci stracić? Czy warto, jeśli dotychczasowa produkcja

Łagodny urok starych listów

Stanisław Bubień

GUSTAW Doliński — jakże znane i szanowane było to nazwisko w Lublinie. Tutaj bowiem w ciągu 25 lat u schyłku ubiegłego wieku człowiek ten rozwijał szeroką i pożyteczną działalność jako lekarz, literat, społecznik. Ci, którzy znali go dobrze — świadkowie jego pracy i zasług dla regionu — mogli mówić o nim: *Bezspornie była to indywidualność wysoce kulturalna, subtelna, odczuwająca tętno życia społecznego we wszystkich jego przejawach, obdarzona najszlachetniejszymi popędami, gorąco odczuwająca to, co nam dolega.*

Miejscowa inteligencja widziała w nim swego prominenta. Bo też naprawdę skupiał on w sobie cechy rzetelnego humanisty. W swoim zawodzie lekarskim kierował się współczuciem dla cierpienia i niedoli, wspierał biedotę, sam nie dorobił się fortuny. Jako pisarz i publicysty zyskał niemały rozgłos. Pióro jego — czytamy w czyjejś relacji — *było niewyczerpane: poezja, kronika, pedagogika, higiena, obrazki z życia i komedie przez szereg lat zapełniały pisma, a wszystko pisane śmiałym i świetnym językiem.* Będąc ponadto działaczem społecznym o wrodzonej żywotności, a także doskonałym prelegentem, on jeden — tak właśnie sławiono go pośmiertnie — *czuwał, budził ze śpiączki, zachęcał do czynu, do pracy i dał dowody, że ciało zawsze można krępować, umysł wolnym jednak pozostać musi.*

Upamiętnił się wreszcie w sferach towarzyskich miasta swoim pogodnym usposobieniem, wielkim poczuciem humoru i ciętymi dowcipami, jakimi zaprawiał układane przez siebie wierszyki satyryczne i fraszki, które lublinianie ku własnej uciesze kolportowali szeroko. Niezrównany facecjonista — od tej strony przede wszystkim został nam pokazany przez Konrada Bielskiego w ciekawych wspomnieniach pt. „Zasłyszane i podsłuchane" („Kamena" z 1969 r., nr 7).

Gustaw Doliński to postać niewątpliwie barwna. Świadczą o tym najlepiej jego listy, które pisywał do matki i bliskich krewnych. Zachowane szczęśliwym trafem z niektórych lat, tchną szczerością wypowiedzi autora. Jego sylwetka biograficzna rysuje się na tle tego listowania dość wyraziście, przyjrzyjmy się więc jej bliżej.

Sposobiąc się poważnie do życia Doliński, jeszcze jako młodzieniec, nie tylko kształcił umysł, ale rozwijał też w sobie zalety charakteru. Wiele zawdzięczał dobremu wpływowi, jaki wywierał na budzące się jego poczucie moralne stryj Aleksander Doliński, który w Lublinie na Czechowie dzierżawił nieduży majątek. Gustaw, będąc uczniem gimnazjum lubelskiego, często i całymi miesiącami przebywał w jego domu. Doznawał tu ciepłej serdeczności, a nawet materialnego wsparcia, bo niezamożni rodzice nie zawsze mogli łożyć na naukę syna. Toteż później, gdy już studiował medycynę na trzecim roku Szkoły Głównej, pisał z Warszawy 24 lutego 1869 roku z okazji imienin krewniaka tak oto:

Kochany Stryju Dobrodzieju. Wysyłam list ten na dowód, że pamiętam o dniu Jego święta, i załączam moje niekłamane serdeczne życzenia: niechaj Cię Bóg wynagrodzi, drogi mój Stryju i Ojcze, za Twoje serce, za Twą przychylność i opiekę nade mną. Słowa, którymi mię strofowałeś, są dla mnie pamiątką i dowodem miłości prawdziwej. Rady, jakich udzielałeś, abym nie marnował młodości, abym wyszedł na człowieka, postawiły mię na twardym gruncie, na którym, oparłszy się pewniej, do walki z życiem wystąpić mogę. Obcy mi nie zrobili tego i wyrósłbym jak krzywa płonka, jak dziczka na miedzy przydrożnej z owocem gorzkim i cierpkim, na którą każdy przechodzeń spojrzałby z politowaniem i poszedł dalej. Chłopcem tylko ręka męska kierować zdolna — miłość matki tu często nie wystarcza, niestety. Dzięki tej ręce — kierowniczce, pocałunkiem składam jej cześć i wdzięczność moją.

Młody Doliński traktowa naukę jak zabawę. W tym samym liście zwierzał się stryjowi: *Studia medyczne prowadzę na szeroką skalę — to dla mnie jedyne pole, wszystko idzie łatwiej, bo interesuje i zajmuje. Każdy dzień posuwa trochę naprzód i jeżeli tak dalej będzie, to kpię z egzaminów i z rozprawy doktorskiej. Bez wielkiej pracy bez wysiłku wszystko jakoś przychodzi. Jak taniec, jak gimnastyka, celne strzały rozwijają się przez wprawę, tak i zdolności oraz pamięć ciągłymi studiami dochodzą do perfekcji.*

Doliński wiedział, że pozycja społeczna lekarza, skoro miał nim zostać, wymagać będzie od niego — poza osiągnięciami inteligencji i wykształcenia — także pełnej dojrzałości w podejściu do życia. Dlatego nie zaniedbywał i pod tym względem swoistego rodzaju samoedukcji. W dalszej części cytowanego listu mówił o kontaktach, jakie nawiązywał w tym celu z socjetą warszawską:

Puszczam się w świat, to mi dobrze robi — bo trzeba koniecznie nabyć tej śmiałości, tej pewności siebie i poloru, tak wielką odgrywających rolę w życiu potocznym. Bywam w domu prof. Wrześniowskiego i Łuczkiewicza.

(— August Wrześniowski, zoolog, profesor Szkoły Głównej; Henryk Łuczkiewicz, lekarz warszawski — przyp. S. B.)

Tam znów towarzystwo uczone, poważne, można wiele skorzystać, wiele nowych rzeczy usłyszeć. Kilka godzin poświęconych tygodniowo dla ludzi wyrywa mnie z kółka powszednich zajęć, daje pewną rozrywkę, a przy tym trochę żeny, trochę etykiety. To wyborna szkoła dla młodego doktora, co ludzi powinien znać na wylot. Spotyka się różne indywidua. Świat modny — to misternie wyrobione cacko, ładne to, błyskotliwe, ale puste, gruntu prawdziwego, silnej podstawy brakuje, a bez tego ja nie rozumiem człowieka, połączyć jedno i drugie — oto ideał, o którym marzę. Polor nabyć łatwiej, ale podstawa to trochę trudniej przychodzi.

Z dyplomem doktorskim, otrzymanym w uniwersytecie warszawskim, przebywał Doliński na dalszych studiach za granicą: w Wiedniu, Berlinie, Paryżu. Po dwóch latach wrócił do kraju, mieszkał krótko w Warszawie, potem osiedlił się w Lublinie. Cały okres życia i działalności jego w tutejszym środowisku trzeba nam w tym wypadku pominąć. Urywa się bowiem ciąg źródeł epistolarnych, jakimi dysponujemy.

Z końcem 1898 roku opuścił Doliński Lublin i przeniósł się do Warszawy. Pisane przez niego stamtąd listy obrazują go już jako człowieka zatroskanego o materialny byt rodziny, składającej się z żony i czworga dzieci. Warunki egzystencji w stolicy nie były dla niego naonczas łatwe. Miał więc powody do utyskiwań i czynienia uwag na temat spraw osobistych i ówczesnej sytuacji w kraju. W korespondencji ze swoją, mieszkającą w Lublinie, ciotką, Marią z Dolińskich Zdzitowiecką, tak pisał 6 września 1899 roku:

Nie wiadomo, co każdemu los włoży w jego skarbonkę, trzeba robić, co można, a reszta już nie do nas należy. Zapewne, że na tym świecie nam wszystkim nie uśmiecha się życie jak innym narodom, ale koniec wieku przygotował takie niespodzianki i takie dziwne wytworzył ogólne ludzkie stosunki, że my, co pamiętamy inne czasy, jesteśmy jak drzewo przesadzone w inny grunt i trudno się do tego nowego gruntu zastosować. Ja trafiłem do Warszawy także na czas ciężki, bo cenzura wzięła na nowo w ciasne kluby i nie wiemy, jak się obracać. Prowincja tego tak nie odczuwa, ale będąc bliżej tego całego ruchu, czujemy hamulce na każdym kroku. Moja praktyka lekarska rozwija się powoli, ale zawsze średnim strumieniem coś kapie, tak że trzeba dużo piórem skrobać, aby na wydatki wystarczyło. A można by zrobić daleko więcej, gdyby można było coś porządnego pisać. Mnie samemu kilkaset rubli leży w robotach i muszę czekać, co naturalnie czyni różnicę. W Warszawie można zarobić dużo, ale w interesach handlowych i przemysłowych, bo dziś tylko w tych gałęziach jest ruch, a wszelkie inne drogi szczelnie zamknięte.

Wykonując swój zawód i trudniąc się dorywczo dziennikarstwem, nie mógł Doliński utrzymać się długo w stolicy. Liczył sobie 54 lata — czuł się zmęczony życiem i pracą umysłową. Toteż kiedy nadarzyła się okazja lepszego zarobkowania, skorzystał z niej, pojechał sam, bez rodziny, na Podole, gdzie przyjął posadę w dobrach Konstantego Potockiego jako lekarz klucza majątków Peczara. Przebywał tam trzy lata. Musiał dostosować się do warunków życia bądź co bądź prowincjonalnego. Pisał wtedy wiele o sobie. W liście do wspomnianej Marii Zdzitowieckiej z 19 grudnia 1900 roku donosił:

Trzymam się, jak mogę. Urządziłem się jako tako na nowym gospodarstwie. Tylko dziwny klimat tutejszy wysoce mnie denerwuje. Ma to być rok wyjątkowy, ale ciągle pochmurne

Przedsiębiorstwa Produkcji Pomocniczej i Montażowej elementy i beton towarowy na te 16 budynków mieszkalnych (9 budynków 12-rodzinnych i 7 budynków 18-rodzinnych) zabezpiecza niezależnie od innych potrzeb.

Z tymi pytaniami koresponduje wniosek związków zawodowych zgłoszony na jednym z zebrań w Lubelskim Zjednoczeniu Budownictwa. Sugeruje on przejęcie fabryki domów w Niemcach przez budownictwo ogólne, mające już spore doświadczenie, jeśli idzie o produkcję elementów wielkopłytowych, posiadające wyspecjalizowane załogi, dysponujące już teraz dostateczną bazą pomocniczą oraz szerokim zapleczem. Czy nie warto o tym pomyśleć — dowodzono — choćby dlatego, by zlikwidować obecnie istniejące wytwórnie OWT, mieszczące się od wielu lat w środku wielkich osiedli, wytwórnie, których dalsza rozbudowa a nawet remonty są już zupełnie nieopłacalne? Można by wreszcie tak ustawić produkcję, aby i dla budownictwa rolniczego potrzebna ilość elementów znalazła się w programie produkcyjnym fabryki.

Na zebraniu nie rozważano tej kwestii, co istotne, z pozycji firmowego egoizmu. Zgadzano się, że rolnictwo musi mieć to, co mu się słusznie należy — tylko czy akurat tą drogą i takim kosztem? Czy nie ma innych sposobów na rozwiązanie problemu? Czy nie należałoby raczej tworzyć małe, dające się demontować i przenosić wytwórnie poligonowe, bo przecież nie rzecz w tym, jak wytworzyć potrzebne elementy, tylko jak zapewnić odpowiednią ilość materiałów wyjściowych do ich produkcji — cementu, kruszywa lub stali. Przypomnijmy, że obecna moc PPPiM może zabezpieczyć aktualne i przyszłe potrzeby budownictwa rolniczego w regionie nawet wtedy, gdyby nie było fabryki domów. Do dziś się przecież wspomina, jak szybko odbudowano Karczmiska po ogromnym pożarze, tylko przy zastosowaniu pustaków typu „alfa".

Jedno jest pewne: w rezultacie przejęcia fabryki w Niemcach przez Lubelskie Przedsiębiorstwo Budowlane — ono właśnie chciałoby eksploatować ten obiekt — zlikwidowane byłyby dwie wytwórnie OWT, jedna przy ul. Zana druga przy ul. Gospodarczej w Lublinie — pierwsza całkowicie, druga częściowo. Co oznacza zlikwidowanie wytwórni OWT przy ul. Zana, najlepiej wiedzą mieszkańcy otaczających ją osiedli, wiedzą o tym doskonale wojewódzkie i miejskie władze Lublina, którym zaczyna bardzo brakować uzbrojonych terenów pod budowę mieszkań, a wytwórnia zajmuje ich spory kawałek. Najlepiej jednak wiedzą o tym sami jej właściciele, którzy mają z nią coraz więcej kłopotów, a utrzymywać taki stan muszą z braku innych możliwości. Tymczasem wytwórnie OWT (i jedna i druga) to worki bez dna, w które można tylko sypać miliony bez jakiegokolwiek zysku. Wytwórnię OWT przy ulicy Zana budowano wtedy, gdy powstawała LSM zwłaszcza pierwsze osiedla, i wtedy miała ona rację istnienia. Po tym powinna być zlikwidowana a tereny przeznaczone pod zabudowę.

Funkcjonować jednak te zakłady muszą, mimo, że „jadą" już tylko na stratach. Ostatecznie potrzeby mieszkaniowe Lublina są nadal wielkie.

Można pomyśleć, co ma piernik do wiatraka, a wytwórnie OWT do fabryki domów w Niemcach? Przedsiębiorstwo twierdzi, że jest w stanie fabrykę uruchomić, wykorzystując to, co ma już we własnym posiadaniu, głównie zespół ludzi przygotowanych i doświadczonych, jeśli idzie o technologię produkcji elementów budowlanych. Ale co z tego będzie miało budownictwo rolnicze? Czy ilość potrzebnych rolnictwu materiałów budowlanych, a ściślej elementów budowlanych, zostanie zagwarantowana? Otóż specjaliści z LPB twierdzą dość zgodnie, że jest to zupełnie możliwe, ponieważ będą zdolni w lepszych warunkach wyprodukować tyle, że i dla budownictwa rolniczego wystarczy. Tymczasem fachowcy z budownictwa rolniczego powiadają, że lepiej mieć wróbla w garści, niż na dachu. Owszem można, ich zdaniem pójść na koncepcję przekazania fabryki, ale pod warunkiem, że powstanie jedno przedsiębiorstwo produkcji elementów wielkopłytowych będące pod bezpośrednim nadzorem wojewody, który dzieliłby wyroby takiej fabryki sprawiedliwie i zgodnie z potrzebami jednej i drugiej strony. Tylko, że głos w tej sprawie zechce mieć na pewno czterech wojewodów, jako, że ZBRol działa na terenie znacznie szerszym niż województwo lubelskie.

A budowa fabryki domów w Niemcach trwa. Wkrótce „Zremb" przystąpi do instalowania urządzeń w hali, do której dotychczas wejść nie mógł, ponieważ brakowało nad halą dachu, a jej wnętrze zaczęło zielenieć od mchu. Gdyby jednak zapadła decyzja przekazania obiektu innym użytkownikom, to można to zrobić tylko na etapie obecnego stanu budowy. W innym przypadku zaistnieć może konieczność przezbrajania ciągów produkcyjnych, technologicznych, w tej chwili przystosowywanych do produkcji płyt typu RBM-75, gdy tymczasem postulat mówi o produkcji płyt OWT — dotychczas najbardziej sprawdzonych w budownictwie mieszkaniowym. Nawet byłoby co przerzucić do fabryki domów w Niemcach z urządzeń i ciągów technologicznych, które już są i będą jeszcze sprowadzane do tych nieopłacających się wytwórni w samym Lublinie.

Sprawa jest delikatnej natury, jak każda, w której idzie o pomniejszenie czyjegoś stanu posiadania. Nie podejrzewam Zjednoczenia Budownictwa Rolniczego w Lublinie o partykularyzm, czy chęć posiadania dla posiadania. Sądzę, że w grę wchodzi obawa, że rolnictwo, i tak niedoinwestowane, borykające się ciągle z brakiem podstawowych materiałów budowlanych, może stracić, kosztowną to kosztowną, ale szansę zmiany tego stanu rzeczy w wymiarze czterech województw. Jeśli te obawy okazałyby się nieistotne to może przejęcie fabryki domów byłoby uzasadnione...

Osobiście mam inną wątpliwość w całej tej materii. Najwięcej narzekania na brak materiałów budowlanych słyszy się podczas dyskusji z rolnikami indywidualnymi. Jest to żelazny temat tych rozmów, wcale nie mniejszy, niż problem zaopatrzenia w węgiel, pasze czy nawozy. Nie negując potrzeby materiałów budowlanych dla PGR-ów czy na budowę ośrodków gminnych, nie można, wydaje mi się, nie uwzględniać potrzeb rolników indywidualnych u których poprawa produkcji zwierzęcej uzależniona jest również od tego, czy będziemy budować obiekty inwentarskie o wyższym niż dotąd standardzie, czy nadal będą to liche obejścia gospodarskie z możliwościami produkcyjnymi jak za króla Ćwieczka. Można będzie w końcu polepszyć zaopatrzenie rolnictwa w pasze, ale wtedy pojemność tych budynków i przestarzałość technologii hodowli nie pozwolą na uzyskiwanie takich ilości mięsa, aby starczyło i na własne potrzeby, i na sprzedaż innym. Dlatego niektórzy sugerują, że fabryka w Niemcach powinna produkować również takie elementy, jakie rolnik indywidualny mógłby zamówić wraz z dowiezieniem i zmontowaniem skorupy domu czy budynku inwentarskiego, chociaż na wsi wolą cegłę lub pustaki od betonowej płyty — tacy już są.

---

dni, deszcz, ciepło, zupełnie jak w krubieszowskim... Gdybym nie umiał wystarczać sam sobie, mógłbym oszaleć, spędzając wieczory sam jeden. Ratuje mnie ów wierny przyjaciel — książka. Czytam dużo i po trochu piszę.

Przechodząc do relacji o sprawach bardziej istotnych z praktycznego punktu widzenia, dodawał: *Teraz odetchnę po rozmaitych wydatkach, bo musiałem zakładać całe gospodarstwo, jakbym się żenił. Urządziłem jako tako ośrodek, będzie latem ładnie. Zasadziłem dość drzewek, a będą całe klomby i rabaty róż. Tego tutaj nie brakuje, zaś ogrodnik dobry i wdzięczny pacjent, bom go z ciężkiej wydobył choroby...*

Jak przystało na człowieka z natury ruchliwego, wszedł zaraz Doliński w czynny tryb życia związany z przyjętymi na siebie obowiązkami. Równocześnie obserwował bacznie miejscowe obyczaje, poznawał okolice i ludzi, przedsiębrał dalsze podróże krajoznawcze, oceniał tamtejsze stosunki społeczne i ekonomiczne, porównywał je z tymi, jakie panowały w Królestwie Polskim. Pełen nadziei, że zaprosi z czasem kogoś z najbliższych krewnych do siebie w gościnę, dzielił się tą myślą w swojej korespondencji. *Może kiedy dla rozmaitości przyjedziecie na Podole. Zwłaszcza wiosną musi tu być cudownie. Ja widziałem jesień i byłem zachwycony. Zobaczylibyście Kijów i Odessę, boć to już bardzo bliskie dystanse. A Boh i Dniepr przecudowne...*

Jako sumienny lekarz zyskał Doliński poważanie u swoich chlebodawców — Potockich. U nich spędzał niekiedy doroczne święta, zapraszany bywał na śniadania lub obiady. Podobnie w okolicy nawiązał stosunki towarzyskie bliższe i dalsze, znalazł tu ludzi poczciwych, przyjaznych sobie i wysoce — jak przyznawał — inteligentnych. Zajęć mu nie brakowało. Leczył oficjalistów, ich rodziny, służbę folwarczną i chłopów. A zupełnie poświęcał im czas, kiedy grasowały tu częste choroby epidemiczne: tyfus, influenca, szkarlatyna, dyfteryt...

Mając teraz pewniejsze i lepsze dochody, niż mógł je osiągnąć w Warszawie, cieszył się, że jemu osobiście i rodzinie powodziło się coraz pomyślniej. Pisał z Peczary 4 września 1901 roku do matki: *Może to nagroda za to, że w życiu nie byłem łajdakiem i złodziejem, a grzeszyłem brakiem pamięci o sobie i za wiele pragnąłem dobra dla drugich.*

Mimo wyraźnej poprawy warunków bytu przemyśliwał nad tym, by z Podola wrócić na stałe do Lublina. *Byłbym to dawno zrobił* — zwierzał się ciotce Julii z Lingenau Dolińskiej — *ale zawracali mi głowę możnością dostania lepszej posady.* Chciał znowu mieszkać w mieście, w którym upłynęły najpiękniejsze jego męskie lata. Miał to być — jak żartowano w gronie rodzinnym — „Powrót taty" niczym w balladzie mickiewiczowskiej. Aluzyjka spodobała się mu, skoro 1 września 1903 roku napomknął o niej, pisząc do kuzyna Mieczysława Zdzitowieckiego: *Kochany Sławciu! Uśmiałem się serdecznie z „powrotu taty". Tato byłby to dawno urządził, ale siedzieć musiał, bo tak składały się okoliczności. Możesz sobie wyobrazić, jak się cieszę na samą myśl, że powrócę między swoich. Było mi tu bardzo pusto, smutno i na kieszeń nie tęgo. Dziś jest mi nawet bardzo dobrze.*

Chodziło mu teraz tylko o wynalezienie w Lublinie odpowiedniego mieszkania. Najogólniej informował: *Niech będzie niewielkie, ale składne. Gabinet duży! Sypialny pokój z wentylatorem. Nie wysoko, bo zadyszka! I nie w smrodliwym miejscu, bo nos odwykł od zapachów miejskich.* Kładł nacisk na to, by wynająć mu nieduży domek z ogródkiem. Życzenie swoje uzasadniał w lirycznym nieco tonie: *Przyzwyczaiłem się do zieloności, kwiatów, ciszy, słońca, jestem szlachcic z krwi i kości, pachnie mi rola, wabi ogród, szepcze serdeczną pieśń las, grają w uszach hejnał szerokie pola. Zakochałem się w stepowym wichrze, kurhanach i mogiłach. Więc kawałeczek zieloności, niech by gałązka zaglądała w okno i mówiła: i ja żyję.*

Przejeżdżając do Lublina, wpadł Doliński ponownie w kłopoty natury materialnej. Prosił krewnych o wypożyczenie skądkolwiek „trochę gratów" na urządzenie nowego mieszkania. *Jestem znów goły jak pasternak* — użalał się przed kimś listownie. Po wygaśnięciu kontraktu zjawił się wreszcie u celu przed samą rewolucją, jaka wybuchła w Rosji w 1905 roku. Pobudzony wywołanymi tym wydarzeniem nastrojami wśród miejscowego społeczeństwa, uczęszczał tu na różne wiece polityczne, wysłuchiwał przemówień do końca, a gdy już ludzie zaczynali rozchodzić się, zabierał głos, streszczał jasno a zwięźle przebieg zebrania, chwalił wypowiedzi, które zawierały dobrą myśl, a potępiał inne, jeżeli godziły w dobro ogółu. Takim był właśnie.

Zmarł na serce 7 maja 1906 roku przeżywszy lat 59. Szczątki jego spoczywają na cmentarzu przy ulicy Lipowej.

LIST Z RZESZOWA

Cieplej chociaż zimniej...

MOJE miasto, leniwe zwierzę, mruczy gniewnie. Wieje halny. Odwilż. Wczoraj, białe, dziś czarne. Słowa, białoczerwone opaski, gorące głowy, zimny deszcz. Nerwy. Lody prowincji, starannie zamrożone, tają powoli. Czekamy, czytamy. Z miasta Neptuna krzepiące jak cukier informacje. Oddychamy po długim śnie.

Przez wiele lat sen galicyjski morzył nasze miasto. Rosło ono wieżowcami, ambicjami, pomnikami. Ale ludzie, prominenci nie rośli razem z miastem. Co z pomników, kiedy człowiek pełza? Piekielnie trudno zetrzeć na proch głupotę i egoizm. Ruszyły młyny historii. Świat prowincji im mniejszy, tym większy. Kłania się Gogol.

Teatr męczy polityczna skleroza. Grali właśnie „Tadka Niejadka". Dzieci miały się uczyć dorosłego teatru. Dookoła chodzą ludzie i krzyczą: precz z kulturą organizowaną na siłę, konsumowaną z przymusu. Czort swoje, pop swoje. Ekscentryczny Tadek cierpi na brak apetytu. Od lat biedny teatr kolekcjonuje błędy. A cudotwórcy jak nie było, tak nie ma. Łatwiej o groszoroba. Robi duże pieniądze w małym mieście i ucieka. Decydenci, referenci, czort wie, kto wpadł na to, że teatr to nie zespół, a dyrektor. Zawiedzione, spadłe z nieba ambicji gwiazdy zaledwie tlą się na scenie. Pretekstem do zagrania roli jest wysługa lat, koneksje, układy erotyczne. Czy teatr, owego, starego trojańskiego konia deficytu, nie stać na ludzi młodych, na to, żeby miał więcej aktorów, niż ról?! Żeby rola nie była przypadkiem, chałturą, czy odrabianiem pensji, a tęczą w szarym życiu widza?! Niejeden już raz recenzenci teatralni jak drwale rąbali, rąbali, siekiery połamali, a teatr z lenistwa kamienia stał dalej...

Pomysły referentów. Nudzą się mocno w wydziale komunikacji. Ulice równoległe do siebie, jednokierunkowe. Całe lata tak było. Aż tu hokus pokus: pozamieniano znaki. Jadą ludzie „pod prąd". Hamują. Klną. Tłuką się. W ten sposób utrudniono widać posiadaczom samochodów dojazd do Pewexu na ul. Lenina. Albo był to ukłon w stronę Anglików. Ruch lewostronny w Rzeszowie to coś zabawnego. Skrzyżowanie przy ul. Lenina i Fredry. Każdy, kto przez nie przejeżdża, bierze udział w grze hazardowej. Światło zielone raptem bez pośredniego światła żółtego zmienia się w czerwone. Żeby skręcić od strony Hali Targowej w kierunku Krakowa, trzeba mieć refleks Zasady. Miał tam miejsce ostatnio poważny wypadek. Może mądry okaże się referent po szkodzie. Warto by przywrócić światła trójfazowe. Epidemia bezsensownych zmian może się okazać katastrofotwórcza. Wykonując prace proste, trzeba się do nich przygotować teoretycznie. Prawda, słoniu trąbalski?

Oddech optymizmu: Wyższa Szkoła Pedagogiczna ma nowego rektora. Są spory, czy został on „przywieziony w teczce"? Mogliśmy przecież samorządnie wybrać... Pytanie: kogo? Przez wiele lat uczelnia była zardzewiałą puszką Pandory. Żyła ploteczkami, pytaniami, ile żon pana docenta zmieści się na ostrzu jednej szpilki, drobnymi, personalnymi wojenkami. Doktorantów samodzielnego chowu było tak mało, że starczy palców jednej ręki. A mimo to kierownicy katedr dmuchali w sprawozdaniach w baloniki optymizmu. Leciały różowe do centrali, a myśmy ze smutku płakali. Co powiem o dorobku naukowym, o autorytecie? Nic, albo cicho, całkiem cichutko, bo ja tu nie do śmiechu, a do płaczu gadam. Uczelni i nowemu rektorowi życzę chociażby uniwersytetu. Wymiernego, szanowanego w świecie naukowym dorobku.

Tysiące prywatnych racji stało się racją stanu. Nowa gramatyka. Oni to my. Ludzie mniej na siebie burczą, jest cieplej, chociaż jest zimniej.

pumex

POEZJA LUDOWA

Wanda Czubernat

WIGILIJNE WRÓŻBY ZE SIANKA

Siano pachnie latem,
radość wre w człowieku,
chodźcie, dziywki, powrózymy,
co wos którom ceko.

Jedno trowka krzywo,
drugo połomano,
ty Maryśka będzies miała
za małżonka pana,
choćby Józka Floryjana
od staryj Margiele,
co sie roków temu dwaścia
urodził w niedziele,

Tobie Helciu chłop kulawy
wysed we wrózeniu...
z duzym brzchym, małom głowom,
łysy na ciemieniu.

Margita zaś, siestra wasa,
co do skół chodziła,
proste ściybło, piykne ściybło
z sianka wyciągneła.
Z tego ściybła sie ji wrózy
z Hamyrki ujek,
o jej, gutbaj Hamaryka,
już dularki cujem!

(Raba Wyżna, woj. nowosądeckie)

Stanisław Buczyński

DZISIAJ ZNÓW

I tak jak wtedy, dzisiaj znów
Zebierzem się o zmroku...
Wiem, że nie padnie wiele słów,
Lecz łza się sperli w oku...

Czy wszyscy są, czy kogoś brak?
Jeśli ktoś odszedł wczora,
Duchem niech siądzie z nami, tak,
Wilijna przecież pora...

A kto się spóźnił z życia dróg,
Niech spieszy do ogniska,
By po otarciu z krwi swych nóg,
Mógł przysiąść do koliska...

I tak jak wtedy — otrze łzę
I stanie z nami — matka,
A wszystkie oczy wpatrzą się
W najczystszą biel opłatka...

I wtedy wszystkie serca w krąg
Owładnie dziwne drżenie:
Uściskiem silnych czarnych rąk
Objawim — przebaczenie...

Powstaniem wszyscy — ile nas —
Niepomni krzywd, rozłąki,
Podzielim się opłatkiem wraz,
Opłatkiem z białej mąki...

I tak jak wtedy, dzisiaj znów
Zebierzem się o zmroku,
Wiem, że nie padnie wiele słów,
Lecz łza się sperli w oku...

(Kotorów, woj. zamojskie)

Hanka Nowobielska

POKÓJ

Nie ma witraży misternych,
by światło grało w ich barwach;
na ścianie pajęczyn arras,
opodal żłobek mizerny.

Nie ma marmurów i złoceń,
gotyku czy renesansu,
nie trzeba też celebransów,
bo wszystko tu jest tak proste:

Zwyczajny Mąż i Opiekun,
Matka schylina ku Dziecku,
które usnęło głęboko,

Dziecięctwo cudowna wielkość,
byś, dobrej woli człowieku,
odnalazł w sercu swym Pokój.

(Białka Tatrzańska, woj. nowosądeckie)

Wycinanka Kazimiery Wiśniewskiej z Hrubieszowa

Julian Smuga

O CZYM MÓWIŁY KROWY?

W Wigilię, gdy zwierzęta mówią ludzką mową,
Radziły moje krowy nad stopą życiową:

Zagaiła najstarsza: — Kiepskie nasze sprawy,
Było źle, a dziś także nie widzę poprawy,
Wczoraj podczas spaceru obejrzałam silos.
Był pusty. Więc wnioskuję, że czeka nas psi los.

— To prawda — rzekła druga, drapiąc się o ścianę
Brak kiszonek, a trudno wyżyć samym sianem.
Była powódź, więc diabli wzięli kukurydzę...
Stanowczo, przyszłość naszą
w czarnych barwach widzę!

Z kolei głos zabrała krówka zgrabna, młoda:
— Ja do uwag przedmówczyń
nowy problem dodam.
Mówią, że wszystko głupstwo, co nie tyczy żłobu...
Ale to też nas może zapędzić do grobu...
Otóż, jak wam wiadomo, osobników męskich
Było we wsi za mało, aż doszło do klęski.
Myślę, że pamiętacie byka Józka Bedli?
Zginąć śmiercią niesławną — i w mieście go zjedli.
A był to byk poważny, mądry, jak mąż stanu!
Zawsze pierwsza mówiłam mu
„Dzień dobry panu!"

To nie wszystko! A byczek Czarnego Pietrzyka?
Pamiętacie? Wyglądał na tęgiego byka!
Jakąś tam operację zrobiono mu pono —
I na niedorzecznego wołu przekształcono...
Ostatni — ten do Gila — byk przystojny, dziarski
Też już poszedł na rosół czy befsztyk tatarski...

— Skandal! Zbrodnia! Nihilizm! —
zaryczała babka.
— To dla krowiego rodu fatalna pułapka!
Co za czasy! Kto słyszał to za moich czasów!
Nie było w krowim życiu kłopotów, hałasów...
Pamiętam, kiedy byłam młodą jeszcze damą,
Gdy na wspólne pastwisko chodziłyśmy z mamą,
Bywał z nami byk wójta, co pastwiskiem władał...
Co dzień matrymonialną ofertę mi składał!
— Przestań, babciu, to znamy — przerwała jałówka,
Ale co będzie z nami? Na to młoda krówka:
— Podobno mówią we wsi coś o sztucznym siewie,
A jak to będzie, tego i sam sołtys nie wie!
Dalej już nie słuchałem. Krowy miały rację;
Przeprowadzono we wsi byków likwidację,
Cicho coś o przybyciu nowych „szklanych byków",
Za to głośno od krowich stęsknionych poryków...
Więc pytam przy pomocy mojego wierszyka,
Czy to hodowlanego nie strzelono byka?

(Brudzów, woj. kieleckie)

Zamiast recenzji

DROGA Pani Matyldo! Trochę mi drży ręka, kiedy zaczynam ten list, bo adresuję go na Czwartek Lubelski. Tuż obok mieszkała moja Matka, gdzie przeniosła się z nami po wielu wyrzuceniach z kolejnych mieszkań w czasie okupacji. Tam jeszcze mieszka moja siostra. Jak Pani tam zawędrowała?

A poza tym jeszcze dlatego drży mi ręka, bo dawno żadna poezja mnie tak nie „wzięła", tak nie ogarnęła w całość, jak: Pani tomik: „Nie zabijajcie poetów". Było już wiele zjawisk literackich związanych ze wsią. Była poezja inteligentów zakochanych we wsi, jak choćby przeceniona, nie i niedoceniona świetna poezja Konopnickiej. Była poezja pisana przez poetów, którzy opuścili wieś, przeszli w „inteligentny" i krok ten odczuwali jako zdradę, nosili ten garb na grzbiecie przez całe życie, jak np. Stanisław Piętak. Albo poezja Ożoga, którą określiłam kiedyś jak „krzyk żalu wsi odchodzącej". Była także, może jeszcze jest gdzieniegdzie poezja chłopów - amatorów, samouków, tzn. poezja samorodna. Było to zjawisko wynikłe jednak z zacofania kulturalnego wsi, z niepełnego uczestnictwa w kulturze, choć nie brakło tam rzeczy tak świetnych jak poezja Jana Raka czy Jana Pocka.

Ale to, co Pani napisała, nie należy do żadnego z tych nurtów. Jest to poezja, która musiała przyjść, było miejsce na nią. Miejsce wynikłe z sytuacji wsi współczesnej. Bo tamta poezja zakompleksiona lub obca kulturowo, lub też zbyt uboga — nie wypowiedziała do końca całej urody wsi, przyrody, trudu, ziemi, całej miłości do niej. Może i nie bez znaczenia jest to, że napisała te kobieta, bo choć sama nie lubię terminu: poezja kobieca i Pani poezja na ten termin nie zasługuje (bo jest jednak deprecjujący: czy jest poezja męska?), tylko kobieta mogła tak na nowo zobaczyć wieś od dołu jakby, od samej ziemi, od ziół, zieleni i potem aż po to wszystko, co się w niej iskrzy, kipi, szeleści, trzepoce aż do obłoków — z taką czułą miłością, pamięcią, uwagą, troską i z takim smakiem znoju, trudu, ciężaru fizycznej pracy.

To jakby przemówiła kalenica dachu wiejskiego czy sam skopek do udoju. Świat wiejski ma tu swoje własne rzeczywiste istnienie. Przyroda nie jest widziana z zewnątrz, ale w całej dynamice wewnętrznego dziania się, w całym swoim dramacie. Stąd tak często metafora wojenna, metafora morza lub pożaru. Bo tu dzieją się losy żywiołów, a człowiek jest w nie wplątany. Świat gęsto utkany, materialny, obrazowy, realny i rzeczowy. A już nie mam słów zachwytu dla słownictwa. To zasługa Pani — włożenie do poezji i ocalenie tego bogactwa słownikowego, które jeszcze nie zakrzepło, nie stało się zabytkiem językowym, ale dzięki Pani poezji — żyje. Przypomina mi się tylko jako podobieństwo funkcji językotwórczej poezja Chlebnikowa w Rosji i Leśmiana u nas. Powiedziałabym, że pojawiła się nowa, prawdziwa, nie stylizowana, ale najczystsza Leśmianicha. Myślę, że to określenie nie obrazi Pani, bo sama Pani lubi te zgrubione formy wyrazów jak deszczysko, chlustawa, mokwa itd. Z rozkoszą zanurzam się w żywioł językowy Pani poezji, w którym jest tyle dynamizmu, a nawet humoru. I w ogóle cała ta poezja jest przepojona energią i życiową i słowną. Ma w sobie autentyczną „krzepę" w najlepszym tego słowa znaczeniu. A przy tym jest to po prostu poezja pełną gębą, nie z amatorszczyzny, a symbolem może być ten Norwid pod przyciskiem z dojrzałej gruszki.

To tylko kilka moich wrażeń po lekturze Pani książki. Przy tej książce wszystko wydaje mi się blade i wymoczkowate, zwłaszcza to, co sama piszę.

Słowem: Bóg zapłać, dziękuję za dar tej dorodnej, pożywnej i wspaniałej poezji! Ożywa w niej nowy typ sielanki, nie anemicznej i sentymentalnej, ale sielanki pełnej prawdy, nie brzydzącej się niczym, ustanawiającej nawet nowy rodzaj estetyki np. piękno gnoju. Zachwycam się wierszem „Maciucie" i wielu, wielu innymi. A jeszcze imponuje mi, że poezja ta potrafi sprostać nawet treściom ojczyźnianym i społecznym.

A np. arcydzieło poezji „Powrót" — wiersz ukazujący cały los ludzki w zagęszczonej, zwięzłej formie. Gdybym mogła, dałabym Pani własną nagrodę literacką, poetycką, jakiś złoty kamień (od nazwiska), ale proszę przyjąć tylko szczerość zachwytu i pochwał.

Napisałam Pani prawie całą recenzję. Serdecznie pozdrawiam i życzę nowych plonów i nowych żniw poezji.

Anna Kamieńska

Matylda Weina. „Nie zabijajcie poetów". Wydawnictwo Lubelskie 1966 r.

Kariera? Kariera!

Waldemar Piasecki

Izabela Nawe w Falstaffie Verdiego

BOGUSŁAW Kaczyński był zdziwiony:

— Nie słyszał pan o historii Izabeli Nawe? Naprawdę?

— Nie... Wiem, że śpiewa w Berlinie... — broniłem się ogólnikami.

— To niech pan z nią porozmawia. To jest, wie pan, przypowieść o tym, dlaczego najwybitniejsze polskie śpiewaczki operowe wyjeżdżają z kraju i robią karierę gdzie indziej. Tylko czy ona zechce z panem rozmawiać? Doświadczenia z naszą prasą, o ile wiem, też ma bardzo niedobre.

To mnie zafrapowało i przekonało do reszty.

Telefon w łódzkim mieszkaniu artystki nie odpowiadał, choć podobno była już w kraju. Pozostawało czekać na jej wizytę w Lublinie.

* * *

Przyjechała w czwartek, 20 listopada.

— Tak. Wiem... Wspomniał mi o panu Bogusław Kaczyński. Zgadzam się na rozmowę, ale pod warunkiem, że napisze pan wszystko, co powiem. Bez przemilczeń, zmian. No i chciałabym to zobaczyć w maszynopisie, przed publikacją. Pan wybaczy, ale nie mogę inaczej — jej głos był miękki, delikatny i nie pasował do wyrażanych nim treści. Dość zasadniczych.

Jakieś powody musiały być...

* * *

Izabela Nawe jest szczupła. Twarz o wyrazistych rysach, podkreślonych jeszcze krótko ostrzyżonymi włosami. Coś z Mirelle Mathieu. Ubrana w elegancką sukienkę z miękkiego materiału. Ciemna zieleń. Do tego zielony jedwabny szal. Nieco jaśniejszy.

Siadamy. Opowiada o swoim wczorajszym występie w Filharmonii Lubelskiej, w partii Noriny („Don Pasquale" Donizettiego). Chwali dyrygującego Adama Natanka. „To jest wielkiego formatu artysta. Powinien prowadzić teatr operowy z prawdziwego zdarzenia. On się w Lublinie marnuje" — mówi. Znów miękko, ciepło. Uśmiecha się.

— Pani Izabello, który raz pani występuje w Polsce od czasu wyjazdu z kraju?

— W Lublinie po raz drugi. Pierwszy raz w Teatrze Wielkim w Warszawie i Łodzi z berlińską Staatsoper, gdzie mam stały kontrakt.

— Kiedy pani wyjechała?

— W 1971 roku.

— Muszę sprostować. Ja z kraju nie wyjechałam, ja tylko podjęłam ścisłą współpracę z Operą Berlińską. Mieszkam na stałe w Łodzi, a czasowo w Berlinie.

— Tak, ale ja pytałem o przyczyny?

— Zostałam — że się tak wyrażę — „wykurzona" z łódzkiego Teatru Wielkiego. Ściślej — powiedziano mi, że nie umiem śpiewać i obniżam poziom wykonawczy Teatru Wielkiego. Powiedziano mi także parę innych rzeczy, o których wolę nie mówić...

— Kto i kiedy pani to powiedział?

— Dyrektorzy teatru: Stanisław Piotrowski i Zygmunt Latoszewski. W maju 1968 roku.

— Jak do tego doszło?

— W 1967 roku zaangażowano mnie do Teatru Wielkiego w Łodzi. Debiutowała w „Kniaziu Igorze". Śpiewałam partię Dziewczyny Połowieckiej. Była to trudna partia, ale bardzo wdzięczna. Wypadłam chyba nieźle, bo odważono się dać mi partię Gildy w „Rigoletcie" Verdiego. Od tego wszystko się zaczęło... Nie wypada się chwalić, ale sukces przerósł moje oczekiwania i zupełnie nie byłam na coś takiego przygotowana. Owacje widowni. Kwiaty. Znakomite recenzje prasowe (pierwsze i ostatnie w Polsce zresztą). Irena Dziedzic zaprosiła mnie do Tele-Echa... Miałam 23 lata i — zdawało mi się — karierę przed sobą. Okazało się jednak, że to tylko mnie się tak zdawało. Pod koniec sezonu 1967/68 doszło do wspomnianej rozmowy.

— Czy miała ona jakiś „specjalny" charakter?

— Skądże. Pod koniec sezonu dyrekcja prowadzi rozmowy z całym zespołem solistów. Ja w każdym razie szłam na nią pełna nadziei.

— Czy w trakcie sezonu dyrekcja miała jakieś zastrzeżenia do pani śpiewu?

— Nie. Nigdy na ten temat nie było rozmowy. (Chodzi mi o rozmowę przy moim udziale).

— Została pani jednak w Teatrze Wielkim jeszcze trzy lata. Dlaczego? Przecież — jak sądzę — panią obrażono...

— Gdyby tylko to... Ja nie mogłam odejść ze względów czysto osobistych. Mój mąż zmarł, byłam sama. Miałam dwuletnią córeczkę i 2.300 złotych pensji. Trudno się w takiej sytuacji walczy o cokolwiek. Choćby o zwykłą ludzką godność.

— Co pani przez ten czas śpiewała?

— To się da policzyć dokładnie. Przez prawie cztery lata śpiewałam jedenaście partii na swój i nie-swój głos. Były to role wiodące, ale nigdy premiery. Z reguły drugie lub trzecie przedstawienia.

— Jak doszło do pożegnania z Teatrem Wielkim w Łodzi?

— Poszło o premierę „Białowłosej". Nie pozwolono mi śpiewać premierowego przedstawienia, które od samego początku mi obiecywano. No i w ogóle atmosfera stawała się nie do wytrzymania. Jedynym wyjściem była „emigracja". Któregoś dnia otrzymałam propozycję wystąpienia w „Podwieczorku przy mikrofonie". Było to coś nowego i pozwalało odprężyć się. Na krótko o wszystkim zapomnieć. Po występie podszedł do mnie jakiś starszy mężczyzna i zaproponował siedem przedstawień „Rigoletta" w partii Gildy w Operze San Francisco. Nim ochłonęłam, dodał, że reżyseruje Jean Pierre Ponell, a partnerami będą Milles i Aragal.

— Rozumiem, że takich propozycji się nie odrzuca. Kto był tym proponującym?

— William Stein. Amerykanin. Wspaniały człowiek. To był mój pierwszy i najlepszy impresario. Niedawno zmarł... Gdyby nie on i dyrektor Gabryś z Ministerstwa Kultury i Sztuki nigdy nie doszłabym do tego, co dziś.

* * *

Co dziś? Dziwnie jakoś robić bilans życia, jak się ma 36 lat. Chyba, że ma się do czynienia z dziennikarzem, który nie jest dżentelmenem. Pomaga Kaczyński.

Izabela Nawe jest solistką Opery Berlińskiej. Najpierw na kontrakcie pięcioletnim, do 1975 roku. Później było kolejne pięć lat. Otrzymała nagrodę państwową NRD. Od wiosny bieżącego roku podpisała kontrakt bezterminowy. Taki glejt zaufania otrzymują tylko najlepsi.

Od wielu lat posiada tytuł „kammersängerin" przyznawany przez ministra kultury i sztuki. Co to znaczy?

— Jest to najwyższy tytuł artystyczny, jakim można obdarzyć artystę w niemieckojęzycznym kręgu sztuki — w tych sprawach red. Kaczyński jest niezastąpiony. — Na drzwiach garderoby kammersängerin wisi specjalnie grawerowana wizytówka, ma ona swoją garderobianą, wszyscy łącznie z dyrekcją zwracają się do niej poprzedzając imię i nazwisko tytułem. W ZSRR na przykład odpowiednikiem kammersängerin jest miano: zasłużony artysta Związku Radzieckiego.

Izabela Nawe słucha wyjaśnień popularnego krytyka bez satysfakcji, o jaką mogłyby one niejednego przyprawić. Obraca w palcach wiszący na szyi oryginalny „drobiazg". Jest to kula ziemska średnicy pięciu centymetrów. Wykonana ze złota. Z chropowatego pola oceanów wyłaniają się kontynenty. Gładkie, błyszczące. Na nich wygrawerowane są nazwy. Tylko Australia jest nie nazwana. Tam jeszcze artystka nie występowała.

Występowała natomiast, poczynając od przełomowego dla niej 1970 roku — w Lizbonie, Brukseli, Wiedniu, Hamburgu, Wiesbadenie, Lozannie, Paryżu, Bukareszcie, Budapeszcie, Sztokholmie, Düsseldorfie, Stuttgarcie, Madrycie, Florencji, Osace, Nagoi, Tokio, Moskwie, San Francisco. Wszędzie z niezmiennie wielkim powodzeniem.

Powie:

— Sama dziś nie wiem, które miasto, która publiczność zrobiły na mnie największe wrażenie. Są to rzeczy nieporównywalne. W 1975 roku w Hamburgu śpiewałam partię Gildy (w „Rigoletto"), będąc partnerką wielkiego Pavarottiego. Było to cudowane przedstawienie. Jeszcze w trakcie śpiewania na scenę spadały małe bukieciki kwiatów. Po występie zgotowano mi wspaniałą owację. W USA nazwano mnie „polskim słowikiem". W Japonii przedstawienia „Czarodziejskiego fletu" i „Cyrulika Sewilskiego" były filmowane, a po występie w Tokio zaprosiła mnie na audiencję prywatną księżniczka Japonii, córka cesarza Hiro Hito.

— Czy ma pani swoją szczególnie ulubioną partię?

— Tak. Jest to właśnie Gilda z „Rigoletta". Od tego zaczęła się moja kariera w kraju. Dzięki niej otrzymałam propozycję do Staatsoper. Śpiewałam ją najczęściej.

— O jakiej roli, w takim razie, pani marzy?

— Bardzo chciałabym zaśpiewać Violettę z „Traviaty", ale dyrekcja nie chce mi jej powierzyć. Jeszcze zdążysz, mówią, na to będziesz miała czas. Na razie bądź Królową Nocy. Chyba mają rację, bo Violettę można śpiewać, kiedy się już nie może Królowej Nocy, ale nigdy odwrotnie.

— Czy są teatry operowe, w których chciałaby pani zaśpiewać?

— Marzę — jak każda śpiewaczka — o występie w Metropolitan Opera. Podczas pierwszego pobytu w USA otrzymałam propozycję śpiewania tam partii Gildy od ówczesnego dyrektora Metropolitan — Kubelika, niestety musiałabym wówczas odwołać ostatni występ w San Francisco. Kurt Adler, dyrektor teatru, przekonał mnie mówiąc, że jeszcze zdążę tam zaśpiewać. No i czekam. Może kiedyś?

— Najwybitniejsi śpiewacy nie planują na terminy bliższe niż trzy lata. Czy pani pamięta, co czeka panią w najbliższym czasie?

— Spróbuję z pamięci. Najpierw będzie Covent Garden w Londynie i partia Zerbinetty...

— Najtrudniejsza partia koloraturowa — dodaje Kaczyński.

— Dalej Düsseldorf i Gilda, Stuttgart i Królowa Nocy, Berlin i premiera „Uprowadzenia z Seraju" (partia Konstancji), potem jadę do Finlandii na festiwal w Sävonlinna. Na festiwalu wystąpię kilka razy w roli Królowej Nocy. Będę śpiewała po fińsku. Mam też jakieś nagrania płytowe... To wszystko do końca bieżącego sezonu.

— Pani Izabelo, to pytanie chowałem na koniec, czy jest pani zadowolona ze swego życia artystycznego poza krajem?

— Nie całkiem. Z drugiej strony jednak nie wyobrażam sobie, aby w jakimkolwiek teatrze polskim dyrekcja tak troszczyła się o śpiewaka. Dyrektor Deutsche Staatsoper, prof. Hans Pischner, po prostu „siedzi w gardle" każdego solisty. Żal mi natomiast, że nie mam kontaktu z polską publicznością. Jestem Polką i uważam, że powinnam śpiewać przede wszystkim dla Polaków. Jest to niestety, w aktualnej sytuacji niemożliwe. Oczywiście bardzo cenię nawet tak sporadyczne kontakty, jak koncerty lubelskie, które doszły do skutku dzięki życzliwości panów Kaczyńskiego i Natanka.

— Mówi pani: niemożliwe. Dlaczego?

— Dla organizatorów życia operowego, dyrektorów, niektórych krytyków ja po prostu nie istnieję. Nie ma mnie. Odnośnie recenzentów muzycznych, nie mogę pozbyć się przekonania, że wciąż jestem na „liście" tych, o których nie wolno i nie trzeba pisać.

— Jak pani widzi, wolno, bo rozmawiamy. I chyba trzeba. Czy nie jest pani przewrażliwiona?

— Chyba nie. Niedawno na przykład „Przekrój", pisząc o Polakach występujących w Staatsoper, użył mego występu jako pretekstu do... zrobienia reklamy innej śpiewaczce.

— Dzieli pani życie między Berlin, Łódź i Żakowice. Czy ma pani czas na coś jeszcze, poza muzyką?

— Dzielę jeszcze życie na Lublin. Tu mieszka i uczy się w szkole muzycznej moja 15-letnia córka Aleksandra. Niestety, wyrzucam sobie, że niezbyt często to dzielenie wychodzi. Jak czas pozwala, zajmuję się także pieczeniem ciast. Najlepiej wychodzą mi owocowe i tort kawowy.

— Zgadza się. Próbowałem... — po raz kolejny Kaczyński.

Rozmowa-spotkanie dobiega końca.

* * *

Izabela Nawe wstaje. Żegna się. — Teresa Żylis-Gara powiedziała, że dzięki tym, którzy ją niszczyli, zrobiła karierę i śpiewa za granicą.

Na Izabeli Nawe ten cytat-prowokacja nie robi wrażenia. Uśmiecha się i mówi cicho:

— Nie znam Żylis-Gary... Nie wiem.

NASZA POSTAĆ

Bohdan Królikowski

Jak wspaniała nasza postać
Jak się świeci w słońcu stal...

(Józef Przerwa-Tetmajer „Pieśń wojskowa" z czasów Powstania Listopadowego)

Z DWU powodów zacząłem tym cytatem: wystawę pt. „Polski portret wojskowy XVII—XIX w." otwarto bowiem w Muzeum Okręgowym w Lublinie 29 listopada, w 150 rocznicę narodowego zrywu przeciw zaborcom. A „postać" tych czterdziestu kilku osobistości, których portrety eksponowano, istotnie jest wspaniała. Okazale i pięknie wyglądają oni w zbrojach, w kontuszach, w mundurach zdobionych szarfami, szlifami, haftami i orderami. Połyskują podgolone głowy, peruki, wypomadowane czupryny i wąsy. Błyszczą oczy, których nie spuszczają, wodząc spojrzeniem za późnym wnukiem, co gapi się na ich konterfekty.

Wchodzącego na wystawę wita powstańczy karabin i szabla — zawieszone na filarze opasanym biało-czerwoną wstęgą. Poniżej daty: 1830—1980. Na podłodze wielki dzban białych i czerwonych kwiatów. Chwila zadumy. Zda się słychać wezwanie Piotra Wysockiego, werble i strzały. To złudzenie. Na sali cisza. Złocą się ramy. Ciemny połysk starych płócien wzywa na spotkanie z przeszłością. Bo to nie tylko wystawa dzieł malarskich. To także „Polaków portret własny" — na nasze lubelskie możliwości. To również lekcja historii. Długa. Od Batorego po rok 1830/31.

Spróbujmy oddać klimat tej wystawy, jej charakter i nastrój. Już w hallu zawieszono kilka obrazów: szlachta z podgolonymi łbami, w zamaszystych kontuszach, przy szablach — dwaj hetmani: Wacław Rzewuski i Jan Klemens Branicki. Hetmanów jest zresztą na wystawie cała galeria: Stanisław Koniecpolski, pogromca Gustawa Adolfa, Stefan Czarniecki, Mikołaj Hieronim Sieniawski, znowu Jan Klemens Branicki, Stanisław Rzewuski i inni. Każdy w zbroi (inaczej nie wypadało!), z buławą, z piękną szablą, w burce czy aksamitnym płaszczu. Ci z doby saskiej ozdobieni orderem Orła Białego, choć ni na buławę, ni na order raczej nie zasługiwali.

Zaczęliśmy od hetmanów, choć należało — przez grzeczność — wymienić na początku portrety koronowanych głów. Przepraszam Wasze Królewskie Moście! Jest tu zatem Stefan Batory na XIX-wiecznym obrazie pędzla J. B. Plerscha: nieosobliwy od strony malarskiej. Za to świetny portret Jana Kazimierza, malowany przez anonimowego artystę z XVII w. Król bez peruki, z głową łysą czy wygoloną, z obfitszym niż na ogół wąsem, bez charakterystycznej bródeczki. Ubrany po polsku: w barwny żupan aksamitny, na którym kolczuga i karwasze. Przy pasie szabla batorówka. Na szyi order Złotego Runa, w ręku tzw. „regiment" — oba te rekwizyty raczej osobliwie wyglądają przy stroju pancernego rotmistrza.

Król Stefan Batory

Trzeci król na naszej wystawie to Jan Sobieski: portretowany przez anonima z końca XVII w. i — z fantazji — przez Fr. Smuglewicza: na koniu, z szablą nad głową, w niby to karacenie. Czwarty... nie król, co prawda, lecz pisano o nim: „większy niźli król ten książę". Na lubelskiej wystawie można obejrzeć trzy dobre portrety księcia Józefa: w bardzo młodym wieku (jeszcze w austriackim mundurze, ale już z gwiazdą Orła Białego) — pędzla J. Grassiego, i u schyłku życia, jako wódz naczelny (kopia ze znanego płótna M. Bacciarellego i obraz nieznanego malarza).

Skoro już piszemy o wodzach, nie można pominąć Kościuszki. Naczelnik patrzy na nas z trzech obrazów. Jeden z nich malował (zapewne z wyobraźni lub jakiego sztychu) K. G. Schwekert. Wiadomo, Niemiec, stąd pewnie błędy w przedstawieniu munduru. Drugi to portrecik w magierce i białej sukmanie — całkiem niezły. Ostatni (choć w chronologicznej kolejności powinien by być pierwszy) to mało znany wizerunek w mundurze generała majora wojsk Rzplitej, prawdopodobnie malowany współcześnie, i to z natury.

Wyliczając królów, hetmanów i wodzów, zapędziliśmy się zbyt daleko. Tymczasem wśród wizerunków siedemnastowiecznych warto jeszcze zwrócić uwagę na dwa: na portret generała artylerii koronnej, Marcina Kątskiego malowany przez nieznanego gdańszczanina w końcu XVII w. (Chciałbym, by zdobił w drugim wydaniu mój „Generała artylerii koronnej żywot własny"!) oraz na konterfekt księcia Bogusława Radziwiłła. Wisi on niedaleko od Jana Kazimierza — we wspaniałych (cóż, było go na to stać...) złotych ramach — i patrzy zuchwale w królewskie oczy. Wiadomo, zdradziecki książę koniuszy!

Wróćmy do tej części sali, gdzie granatowieją mundury, kraśnieją wyłogi, srebrzą się wężyki. Z czasów stanisławowskich dwa obrazy są tu szczególnie ciekawe: portret gen. Augustyna Gorzeńskiego, malowany przez K. Woźniakowskiego, i anonimowy wizerunek Jana Kazimierza Żaby w bardzo wiernie potraktowanym mundurze wicebrygadiera Kawalerii Narodowej, z piękną szkofią przy rogatywce, w pasie (bardziej chyba kontuszowym niż oficerskim mimo regulaminowych, srebrno-amarantowych, barw), przy zacnej szbali z temblakiem, którego zasadnicze cechy utrzymały się aż do lat trzydziestych naszego wieku.

Tadeusz Kościuszko

Król Jan Kazimierz

Mundury, mundury... Chciałoby się o nich pisać i pisać: Generał Dąbrowski na lichym portreciku Józefa Polkowskiego (malowanym z fantazji, w ileś tam lat po śmierci Twórcy Legionów) ma co prawda uniform tak spaprany, że szkoda słów, chyba tylko w naszej telewizji zdarzają się gorsze błędy...

Za to bardzo wierne od tej strony są inne obrazy. Te zwłaszcza, które malował ceniony przez historyków munduru Józefat Łukaszewicz, w czasach Królestwa Kongresowego. Jak choćby portret gen. Macieja Rybińskiego (ostatniego wodza Powstania Listopadowego) w mundurze podpułkownika strzelców pieszych Królestwa — czy duży wizerunek podchorążego grenadierów gwardii (rozpowszechniony przed kilkoma laty w reprodukcjach).

Kapitalny jest też portret gen. Józefa Chłopickiego, malowany pod koniec XVIII w., w mundurze Legionów, bardzo interesujący wizerunek pułkownika saperów z Powstania Listopadowego, Franciszka Łosia (pędzla Rudolfa Rothkähla) i znakomity portrecik gen. Henryka Kamińskiego (wykonał go Józef

Książę Józef Poniatowski

Haar, który zapomniał tylko o gwiazdkach na szlifach).

W zasadzie po obejrzeniu wystawy warto by zejść na niższe piętro, do galerii malarstwa, gdzie pozostawiono w stałej ekspozycji kilka portretów wojskowych: szlachta w kontuszach i przy szablach, Jan III w karacenie, gen. Franciszek Skórzewski w czerwonym mundurze z czasów saskich, a nade wszystko obraz Tomasza Dolabelli pt. „Audiencja u Władysława IV".

Na wystawie portretów wojskowych eksponowano nie tylko obrazy (a także kilka miniatur). Jest tam osobna gablota z porcelaną zdobioną wizerunkami sławnych ludzi. Jest kilka medali i jeden orzeł z czapki żołnierskiej: bardzo zniszczony, wykopany z ziemi przed paroma laty, pochodzący z Powstania Listopadowego.

Portretów jest czterdzieści kilka. Ale w tej samej sali, w sześciu wielkich gablotach, pyszni się jeszcze kilkuset wojskowych, od generałów do prostych żołnierzy. To dodatkowa wystawa. Urządzona przy współpracy Lubelskiego Oddziału Stowarzyszenia Miłośników Dawnej Broni i Barwy. Pokazano na niej zbiór wojskowych figurek historycznych po nieżyjącym już inż. arch. Kazimierzu Sulikowskim z Warszawy, zakupiony przed kilkoma laty przez nasze Muzeum.

Wystawy wojskowych figurek historycznych (bardzo modnych obecnie w całej Europie) mają w Polsce w ostatnich latach duże powodzenie. Urządzono ich już kilkanaście (wszystkie staraniem specjalnej sekcji przy Stowarzyszeniu Miłośników Dawnej Broni i Barwy). W Lublinie po raz pierwszy. Można tu obejrzeć małą historię naszego wojska od czasów Sobieskiego aż do Powstania Listopadowego: usaria, Kawaleria Narodowa, szwoleżerowie gwardii, ułani, kosynierzy, piechota.

Ustawiono w gablotach całe oddziały: w marszu, na postoju i w paradzie, w szarży i w ataku na bagnety. Pokazano też maleńkie figurynki wodzów: Kościuszki, księcia Józefa, Napoleona ze świtą, króla Joachima Murata... Pomysł chyba dobry. Zestawy ołowianych żołnierzyków znakomicie uzupełniają i ożywiają ekspozycję portretów. Która i bez tego dodatku byłaby wystarczająco żywa, barwna i pouczająca: jako spory wycinek dziejów naszego malarstwa, jako duży rozdział historii Wojska Polskiego, a wreszcie jako „Polaków portret własny" w wydaniu dla Lublina.

Książę Bogusław Radziwiłł

Hetman Mikołaj Sieniawski

Fot. Waldemar Stępień

100 ROCZNICA POWSTANIA LISTOPADOWEGO

W Lubelskiem (3)

Jan Skarbek

TRZECIĄ akcją, równie ryzykowną jak poprzednie, było zorganizowanie w początkach maja 1831 r. przez dowództwo polskie wyprawy w Lubelskie, celem udzielenia pomocy gen. Dwernickiemu w chwili katastrofy. Chodziło o pobicie Kreutza, co automatycznie stawało się dywersją na korzyść Dwernickiego. O tym, jak miała ona wyglądać, zadecydować miał w toku działań sam dowódca, gen. Wojciech Chrzanowski, którego przy tej okazji chciano się pozbyć ze sztabu. Z korpusem liczącym około 6 tysięcy wojska 3 maja 1831 r. ruszył z Jędrzejowa z zamiarem przejścia pod Zamość wzdłuż wschodniego brzegu Wieprza. Ruch ten jednak bardzo szybko odkrył nieprzyjaciel. To, jak i wiadomość od wziętych pod Firlejem jeńców o wepchnięciu Dwernickiego do Galicji przez Rüdigera, stawiało pod znakiem zapytania celowość dalszej akcji. W tej sytuacji Chrzanowski zrezygnował z pobicia Kreutza i zdecydował przedrzeć się pod Zamość. Wszystkimi siłami ruszył na Lubartów, który zajął 9 maja śmiałym manewrem, uprzedzając Kreutza maszerującego tam w sile 7,5 tysiąca ludzi. Nieprzedsięwzięcie jednak przez Chrzanowskiego i podkomendnych należytych środków ostrożności w Lubartowie spowodowało, że następnego dnia, mając odcięte drogi odwrotu na Lublin i Kock, wojsko polskie musiało przyjąć bitwę w krytycznym położeniu. Otoczonemu Chrzanowskiemu groziło nadto przyparcie do bagnistej doliny Wieprza. Jednakże przeciwnik nie wykorzystał w pełni nadarzającej się sytuacji. Wydane przez Kreutza dyspozycje w momencie rozpoczęcia bitwy zatrzymały rozwijające się kolumny Rosjan w obliczu nieprzygotowanych Polaków. Zdziwiony tym adiutant Kreutza zanotował: *gdy wystąpiliśmy do boju, w obozie Chrzanowskiego ludzie byli rozebrani, konie rozsiodłane, część ludzi znajdowała się w miasteczku [...]. Gdy tylko pojawiliśmy się na wyniosłych wzgórzach, uderzono w trwogę. Widzieliśmy bieganinę i szamotaninę w obozie. Wydawało się, że wystarczy iść na nieprzyjaciela tylko z rękami, my zatoczyliśmy działa i otwarliśmy rzęsisty ogień. Pod wpływem nieprzychylnego losu, my zatrzymaliśmy się w momencie, kiedy należało wytężyć wysiłek i ruszyć...* Była to według Maksymowa pierwsza sposobność dana Chrzanowskiemu do ocalenia.

W tym arcytrudnym położeniu Chrzanowski nie stracił zresztą głowy. W obliczu postępującego nieprzyjaciela wykonał niebezpieczny marsz flankowy i o godzinie 13 (po moście w Sernikach, którego przeciwnik nie zdołał zniszczyć), przeszedł na wschodni brzeg Wieprza. Planowe wycofanie się Polaków ułatwiły energiczne działanie Chrzanowskiego, męstwo żołnierzy (zwłaszcza pozostawionych na straconej placówce w Lubartowie, którzy przez kilka godzin wiązali główne siły Kreutza) i fałszywe doniesienie przebranego polskiego oficera o pojawieniu się Polaków na tyłach Rosjan pod Kamionką. W następstwie tej informacji przeciwnik wstrzymał na kilka godzin pościg. 12 maja 1831 r. po forsownych marszach, przechodząc w ciągu 50 godzin 130 km, znużeni bojem i ciągłym ścieraniem się z oddziałami obserwującymi twierdzę korpus Chrzanowskiego stanął pod Zamościem, przyprowadzając ze sobą 500 jeńców. Straty Polaków w rannych i jeńcach wynosiły około 600 ludzi.

Nie wpłynęły zatem działania Chrzanowskiego na poprawę sytuacji Dwernickiego, nie przyniosły też żadnych korzyści Polakom, gdyż nie spowodowały zmiany sytuacji na głównym teatrze wojny. Być może, że absorbując w jakimś stopniu nieprzyjaciela, przyczynił się Chrzanowski do zaskoczenia Dybicza wyprawą na gwardie cesarskie rozlokowane w okolicach Łomży, Śniadowa i Ostrołęki. Na skutek jednak niezdecydowania Skrzyneckiego wyprawa ta, świetnie rozpoczęta, mogąca w konsekwencji przynieść nieobliczalne następstwa dla Polaków, zakończyła się naszą klęską w krwawej bitwie pod Ostrołęką.

Przez prawie sześć tygodni Chrzanowski pozostawał w bezczynności pod murami Zamościa. W tym też czasie naczelny wódz zamierzał wysłać generała na Wołyń. Chrzanowski nie był temu przeciwny. Nie chcąc jednak popełnić błędu Dwernickiego, żądał wzmocnienia swego korpusu do 12—14 tysięcy żołnierzy i pokonania Rüdigera, który 21 maja 1831 r. wkroczył do województwa lubelskiego, zluzowując korpus Kreutza, przebywającego tu od początku wojny. Wraz z oddziałami pozostawionymi przez Kreutza siły Rüdigera wynosiły 11 tysięcy żołnierzy i zdolne były zabezpieczyć górną Wisłę i południowe gubernie cesarstwa, skąd nadciągał jeszcze do województwa korpus Kaysarowa.

W czerwcu 1831 r. dowództwo polskie, nie chcąc podjąć walnej bitwy z przeciwnikiem, zdecydowało się (nie bez oporów) na wyprawę przeciwko odosobnionemu w okolicach Lublina korpusowi gen. Rüdigera. W wyprawie tej, dobrze zaplanowanej, której powodzenie zależało od ścisłego współdziałania oddziałów, miał wziąć udział korpus gen. Chrzanowskiego. Zadanie jego polegało na uderzeniu z tyłu na pobitego nieprzypaciela i odcięcie mu drogi odwrotu na Wołyń.

20 czerwca 1831 r., zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami, korpus Chrzanowskiego wyszedł z Zamościa i zmyliwszy początkowym ruchem ku Wiśle czujność słabej osłony wroga, gwałtownie zmienił kierunek marszu, stając 21 czerwca w Krasnymstawie. Nie zauważywszy żadnego ruchu na trakcie chełmskim, pomaszerował do Piask i Wierzchowisk. Tu z przejętego listu oficera rosyjskiego przekonał się o niepowodzeniu wyprawy pod dowództwem gen. Antoniego Jankowskiego. Słabo i nieenergicznie prowadzona od strony Warszawy, zawiodła zupełnie. Na skutek tego Chrzanowskiego pozostawiono zupełnie swemu losowi, w bardzo trudnym położeniu. Na wiadomość, że oddziały Rüdigera maszerują z Lubartowa na Łęczną, Chrzanowski szybkim marszem zajął Lublin, aby w ten sposób ułatwić zadanie słabej eskorcie transportującej 28 dział oblężniczych wysłanych z Zamościa do Warszawy. Obawiał się, że w razie niedotarcia transportu do celu mógł być posądzonym o współpracę z nieprzyjacielem.

W związku z manewrem Chrzanowskiego, maszerujący na Lublin Rüdiger cofnął się do Siedliszcz w celu zabezpieczenia trofeów wojennych, zbałamucony w dodatku fałszywymi pogłoskami o ruchach Polaków i krzyżującymi się rozkazami kwatery głównej. Tymczasem Chrzanowski po 10-godzinnym pobycie w Lublinie, zasiliwszy swój korpus 200 ochotnikami z miasta, po drobnych utarczkach, wieczorem odskoczył do Końskowoli. 25 czerwca na wiadomość o przygotowaniu mostu na Wiśle pod Gołębiem, nie atakowany, przeprawił swoje wojsko bez strat na lewy brzeg Wisły. Pełne determinacji działanie Chrzanowskiego znalazło uznanie w oczach niechętnego mu Prądzyńskiego, który w swoim pamiętniku napisał: *Z wszystkich polskich generałów jeden tylko Chrzanowski w zdarzeniu tym powinność swoją wypełnił.*

Niepowodzenia czerwcowe i przejście Wisły przez armię Paskiewicza w lipcu 1831 r., przy wydatnej pomocy Prus i zupełnej bierności Polaków, ujawniły zbliżający się upadek powstania. Związanie sił polskich na lewym brzegu Wisły ułatwiło przeprawę do województwa sandomierskiego korpusowi Rüdigera, mimo że od dawna w szlachcie polskim wiedziano o tych przygotowaniach. Próby dywersji na tyłach Rüdigera przez działanie organizowanego w niezwykle trudnych warunkach pospolitego ruszenia (ostatniej obrony powstania) powołanej do życia w końcu czerwca na terenie prawie całego kraju mimo wyraźnej niechęci generalicji) okazały się nieskuteczne. Oprócz poważnego niebezpieczeństwa dla stolicy przejście jego zagroziło całkowitym przerwaniem łączności Zamościa z Galicją.

Dopiero 7 sierpnia 1831 r. Rosjanie przystąpili do oblężenia twierdzy. Spodziewano się tego już od lipca, kiedy to przecięto łączność fortecy z główną armią. Dotąd bowiem, z powodu szczupłych sił, nieprzyjaciel ograniczał się jedynie do kordonu wokół twierdzy i jej obserwacji. Dopiero uśmierzenie powstań na Wołyniu i Podolu umożliwiło oblężenie. Pod Zamość skierowano 12-tysięczny korpus Kaysarowa, który z oddziałami wydzielonymi z korpusu Rüdigera wynosił ostatecznie 16 tysięcy żołnierzy carskich w województwie. Wzmocniono je jeszcze dywizją gen. Rotha, który objął dowództwo wojsk oblegających Zamość.

Garnizon twierdzy (złożony z Polaków, Wołynian, Rusinów) był dość silny, mimo że w maju epidemia cholery, zawleczona do Królestwa przez armię rosyjską, pociągnęła wiele ofiar wśród obrońców. Na przełomie czerwca i lipca stan załogi wynosił około 5600 ludzi. W sierpniu i wrześniu — ponad 4 tysiące. Od połowy sierpnia Rosjanie co pewien czas wzywali załogę do kapitulacji. Powołana w twierdzy rada wojenna, złożona z oficerów z komendantem twierdzy na czele, odrzucała kolejne wezwania, nawet wtedy, gdy Roth powiadomił oblężonych o kapitulacji Warszawy. Niewątpliwie na stanowisko obrońców wpłynęła wiadomość o możliwości pomocy ze strony 2-tysięcznego korpusu gen. Ramorino, który 13 września wkroczył do województwa lubelskiego, nie zrealizowawszy zasadniczego celu wyprawy, jakim było pokonanie gen. Roseua w województwie podlaskim.

W następstwie tego upadł projekt *ściągnięcia Rüdigera w Lubelskie i sprawienie przez to* — jak pisze Prądzyński — *nagłej ulgi Warszawie.* Pospieszny odwrót Ramorino i wejście jego korpusu do Galicji, gdzie złożono broń, pozostawiły obrońców Zamościa bez nadziei jakiejkolwiek pomocy z zewnątrz.

Wśród oblężonych zaznaczyły się różnice zdań w związku z wytworzoną sytuacją. Byli tacy, którzy dążyli do przewrotu w twierdzy, by zmusić dowództwo do zerwania prowadzonych układów. Rozpatrywano możliwość wysadzenia ważniejszych punktów twierdzy i próbę przebicia się do Galicji. Na ostatniej naradzie jednak tylko siedmiu oficerów — Polaków wypowiedziało się przeciwko kapitulacji. Ostatecznie przyjęto propozycje Kaysarowa, wysyłając trzech oficerów do zbadania sytuacji ogólnej. Po ich powrocie — na tych samych warunkach, co dwa tygodnie wcześniej Modlin, kapitulowała twierdza Zamość, ostatni punkt powstańczego oporu. W toku wojny w 1831 r. spełniała ona z powodzeniem swe wielorakie funkcje, będąc na skutek ciągłej okupacji Lublina rzeczywistą stolicą województwa lubelskiego i siedzibą władz powstańczych, do końca trwających tam na posterunku. Obrońcom twierdzy nie dano jednak, mimo wcześniejszych przyrzeczeń, całkowitej amnestii. *Całość zachowania się załogi Zamościa w tej wojnie* — jak stwierdził wybitny znawca historii wojskowości W. Tokarz — *wzniosła się na ten sam poziom, który osiągnęli jej obrońcy w 1813 r.*

Kamena str. 9

WIERSZE MŁODYCH

Mirosława Niewińska

WSPOMNIENIE KOTERAPEUTY

to nie pożar
to gonty co wierzyły że górom dorównywać można
podpalacz kamienne chciał budować dachy
kamień płonąć nie umie

. . . . . .

nie zagra wiatr na kamieniu
czasami tylko skowyt konającego wilka
albo gromy burzowe ludzie słyszą
gdy okiennica chwieje się i pada
od wiatru
a kto zagra ciszą

. . . . . .

podpalacz nowe gonty pozapalał

PAMIĘTNIK Z DRUGIEJ STRONY

uciekam
wczoraj umarł ostatni Wariat
znaliście go
nazywał się demiurg
opowiadał o rajskich jabłkach
z radości na sprężynach podskakują szklane kule
czyste
nie w kaftanie
zrobię z nich korale
przepaskę żałobną
niech mi swoim ciałem kryształowym grają
na organach sopli lodowych rapsodię
słońce wstaje
uciekam
nie odwrócę twarzy gładkością przeszklistej
gdzie ani kształt żaden ani rysa
za mną promień wciąż mocniej naciska ołówek
i już grafik wyraźny prawie gotów szary
zachłystuje się tęczą w bezsilnej szarości
nie odwrócę kuli
nie odwrócę nawet bańki mydlanej
a mój cień przede mną
jak klamka u drzwi stalowieje
za drzwiami nie ma klamki
naiwni wierzą że tęcza i szarość
z tych samych barw
Wariat tak mówił i próbował rozdzielić barwy
spektakl odwołany
po klamce uciekam
po klamce
zanim drzwi się zatrzasną
błogosławieni zazdroszczący tęczy
albowiem oni palety dostąpią
po klamce
zapadła

Tadeusz Korabowicz

* * *

Jarosławowi Iwaszkiewiczowi

nocne są
żurawie
skrzydlate z odlotu
w bagiennej wodzie

Twórczość I. Malarstwo. Rys. Urszula Gierszon

Twórczość II. Poezja. Rys. Urszula Gierszon

w rozkwitłych bzach
nie ma twojej pogody

więc jakie preludium stepowe
Chopin gra
jakie pieśni skrzypcowe
brzezina szumi
w które konary dębu
skryła się twoja wieczność
twoje przemijanie
nasze...

A JEŚLI

a jeśli
Bóg przybiegnie
i zobaczy śnieg
na naszych włosach
o którym nie wiedział
i będzie tańczył
na równinie
na której człowiek
wypatruje deszczu
czy będziemy przy jego trwaniu
we mgle za
domem
i nad stawem

a jeśli
między stopy nasze i Boga
wpłynie rzeka
co powie nam ryba
patrząca w łuskę

Janusz Kondrak

TATERNICZKA

jeszcze tak stanąć — samotnie
na najwyższym pagórku i spojrzeć
na dym — ulatujący z rodzinnego kominka
odgrzebać prawie wystygłą
dobroć aniołów nacieszyć się pieszczotą
matczynej pościeli
swój cień
nakryć cieniem starej czereśni
nie słuchać nie śnić nie pytać
przez sen

o to
co w dole
o oddech spadającej taterniczki

która czuje
nagle
pod stopami

i dym i zapach i skrzydło anioła
pieszczotę pościeli i twój cień spadający
na nią jak ścięta czereśnia
jeszcze tylko dotknąć otrzeć się o jej usta
nim przestanie wołać

KSIĄŻKI ● KSIĄŻKI ● ● KSIĄŻKI ●

Słowa jeszcze nie złote

„ZŁOTE słońce słowa" to trzecia książka poetycka Ryszarda Kornackiego. Po pierwszym tomiku „Wyjście z ciszy" (1973), który ukazał się stosunkowo późno, bo po 14 latach od prasowego debiutu autora, w dwa lata później wyszło „Szukanie człowieka", wyróżnione nagrodą im. J. Czechowicza. (Na marginesie: wielu laureatów tej nagrody nie miało szczęścia do krytyków. Za przykład może posłużyć czekająca na swojego odkrywcę twórczość olsztyńskiego poety — Jerzego Sokołowskiego).

Na „Złote słońce słowa" złożyły się trzy tematyczne cykle, przy czym pierwszy, najobszerniejszy, nosi znamienny tytuł „Widzenie świata". Cykl ten zawiera liczne motywy autotematyczne („poezja", „rzecz w tym", „rozkład dnia"), charakterystyczne zwłaszcza dla wstępujących w literaturę. A jednak nie mamy tu do czynienia ze zjawiskiem „powtórnego debiutu", prostego kontynuowania poetyki, która kształtowała oblicze dotychczasowej twórczości. Jest to raczej próba uściślenia tego, co stanowiło przedmiot wcześniejszych fascynacji, zejścia w głębsze pokłady literackiej samoświadomości.

W „Widzeniu świata" wiele miejsca poświęca Kornacki definiowaniu funkcji poezji. Trudno nie przyznać racji autorowi, kiedy mówi, że poezja to „logika słowa", „droga do prawdy", ale równocześnie mamy obawy w momencie wyznania:

rzecz w tym
by
nie być powtórzeniem liści
głaskaniem świata
rzecz w tym
by
śpiewać czas odmiennie
w tonacji innej niż spokojniak

Czy poeta jest w stanie podołać narzuconym sobie obowiązkom? Realizacja tak nakreślonego programu pociąga za sobą przynajmniej dwa niebezpieczeństwa. Pierwsze (wydaje się — najistotniejsze) wiąże się ze stosunkiem do tradycji „nowej fali", rozumianej oczywiście dostatecznie szeroko. Czy po tamtych doświadczeniach literackich, związanych z odkłamywaniem rzeczywistości, można dodać coś jeszcze, co nie byłoby przysłowiowym odcinaniem kuponów, procentujących z dokonań generacji 70?

Druga pułapka tkwi w samym już stylu mówienia. Publicystyczna aktualność zaczyna dominować nad poetycką ekspresją. Jeśli do tego dodać, że zakres i wnikliwość spojrzenia poety są dość ograniczone, to obraz niebezpieczeństw czyhających na Kornackiego jest już w miarę wyczerpujący.

W poetyckim świecie Kornackiego rozgrywają się dramaty związane z naszą codzienną egzystencją. Poczucie osamotnienia, osaczenia, wreszcie obrona wartości jednostkowych zdają się nie opuszczać autora prawie nigdy: *W tyglu codziennych / najprostszych udręczeń / / złoty koń nie dzwoni podkową [...] w tyglu codziennych / najprostszych powikłań / chronimy zbrojnie / / ciepło swoich domów.*

Publicystyczne ciążenie obniża znacznie wartość utworów pomieszczonych w „Złotym słońcu słowa". Zbyt wiele jest tu nazywania rzeczy po imieniu, za mało zaś ekwiwalentyzacji, przez co wiersze stają się jednowymiarowe, pozbawione drugiego dna znaczeniowego. Stąd stwierdzenia banalne, pozbawione nośności: niech *miłość miłością się zowie / a radość radością.* Diagnozy społeczne, poza kontestatorskim wierszem „Na co jeszcze liczycie", nie zmuszają do refleksji czy odruchu buntu.

Przejdziemy również obojętnie obok stwierdzenia, będącego pointą jednego z wierszy: *Dobrze / że mogę sobie patrzeć / prosto w twarz.* Charakterystyczną cechą pisarstwa Kornackiego jest próba pogodzenia dwóch postaw: homo socius i homo sentimentalis. Stąd też, obok diagnoz społecznych, strofy pobrzękujące nazbyt eksploatowaną struną sentymentalną:

moja ty w wiośnie
uszeptana
wymodlona w brzezinie
w gniazdach oczu
czas zdziwiony przystaje
wiatr łasi się
w strunach włosów
z rąk jedzą sarenki
miłości

W tym właśnie świecie szuka się ratunku po bojach toczonych z ponurą rzeczywistością zewnętrzną.

Dwa pozostałe cykle tomiku różnią się zasadniczo od „Widzenia świata". Następuje w nich przejście od oglądu zewnętrznego do oglądu wewnętrznego, mocno podszytego, co już wspomniałem, sentymentalizm. Na uwagę zasługuje tu przewrotny utwór „Ogłoszenie", zresztą bardziej pasujący do pierwszego cyklu tomiku.

Kończący tomik cykl „Wykołysał mnie Lublin", złożony z sześciu wierszy, zdaje się nam przypominać o tym, że Kornacki zafascynowany jest ciągle twórczością Józefa Czechowicza. Nie wystarcza już samo opatrzenie mottem z Czechowicza, jest także utwór, w którym pojawia się postać wielkiego poety. Szkoda, że czechowiczowski typ wyobraźni poetyckiej nie znalazł tu ciekawszej realizacji.

Wszystko, co napisałem o „Złotym słońcu słowa", wskazywałoby, że mamy do czynienia z propozycją literacką niezbyt udaną. W rzeczywistości jest to książka na swój sposób solidna, jeśli to określenie jeszcze coś znaczy. Ostra ocena spowodowana jest konfrontacją intencji autorskich z ich literacką konkretyzacją. Nie potrafił Kornacki w pełni zrealizować ambitnej deklaracji:

i nic z was we mnie
moi mili
pieniacze
kontuszowcy zysku
gadanie wasze puste garnki
półki w księgarniach obciążają
gdy celność słów nie trafia tarczy
i nic z was we mnie moi mili

Odkładamy książkę Kornackiego, dokument artystycznej porażki. Ale przecież z poczucia klęski rodzi się najlepsza literatura.

Janusz Ryszkowski

Ryszard Kornacki, Złote słońce słowa, Lublin, 1980.

Maria Józefacka

* * *

świerki
dwuszeregiem

świst parowozu przez zaspy gór
zima za zimą
wlecze się

chłopy kolędnicy
czapy barankowe
wąsiska do ziemi
oddech
świerkiem srebrnym
każdy gwiazdę trzyma
wysoko
nie widać

ćwierć wieku z okładem
albo jeszcze dalej
zawiadowca stacji
świerki te zasadził
w szynach podźwiękuje
że zginął
na służbie

od niego aż ku nam te świerki z kolędą
dobro nie zmarnieje chociaż je zagrzebią
chociaż je schowają
pod ziemią
pod spodem
ludziom dobrej woli
pokój

Fot. Waldemar Stępień

Przewalał się rok

Tadeusz Jasiński

ZNOWU przechylił się rok w swoim ostatnim dniu sylwestrowym, aby powitać nowy, już trzydziesty siódmy w tym stuleciu. Ten, który minął, wydawał mi się najważniejszy, bo sam widziałem, jak nasi beskidzcy mocarze schodzili z gór, zespalali się na dolinnych drogach, aby zgodnie pomaszerować do Bielska i Białej, by tam pokazać nasze zniecierpliwienie najwyższe, którego już nikt zahamować nie mógł i nie chciał. Osadzali się też nad brzegami Wisły i wymuszali swą wolę. Podnosili głowy w Cieszynie i Skoczowie, Aleksandrowicach i Żywcu, a wsparci tą przemożną siłą, nie ustąpili w Bielsku i Białej. Cały Śląsk, Łódź i Kraków, Polska na całej swojej rozpiętości, wszyscy, którzy pojmowali, że ich los jest podobny naszemu, bacznie patrzyli na południe ku Beskidowi i odpowiadali na hejnał, który rozlegał się od strony gór. Jeszcze musieliśmy raz powstawać w lipcu, aby obronić to wszystko, co zostało w maju i czerwcu wywalczone strajkiem. Trzeba było wybić wysoko ponad głowy robotnicze pięści, podsuwać je pod fałszywe nochale niemieckich i żydowskich właścicieli sukiennych bud w obu miastach, znowu było konieczne policzyć żebra łamistrajkom, których tamci wynajęli, by unieważnić poprzednie zwycięstwo. Musieliśmy pójść przeciw końskim kopytom policji, a także za pogrzebem Karola Dzieńdziela. Dopadli go płatni mordercy i zatłukli w ciemnej uliczce. Pochowało się w czasie tego pochodu wszelkie draństwo, swoje czujne mordy ukryło za opłotkami fabryk, w korytarzach kamienic i w różnych podwórcach, gdzie ich wypasione konie z niecierpliwością biły podkowami o bruk. Stanęły maszyny w fabrykach, wyszli ludzie w nieodświętnych ubraniach, poszli za tą owiniętą czerwonym płótnem trumną, której warty żałobników nie pozwoliły złożyć na wozie zaprzęgniętym w konie okryte czarnymi derkami. Jedne ramiona oddawały Karola innym, a za nimi szły, czekając na swoją kolej, barki tysięcy towarzyszy, bo Dzieńdziela znało wielu i go kochało. Karawan wiózł tylko wieńce i naręcza kwiatów. Szły za tą jedną, małą trumną znowu dziesiątki tysięcy mężczyzn i kobiet, chłopaków i dziewcząt, więcej może niż przed miesiącem, gdy ruszyliśmy z placu Cyrkowego ku Blichowi. Pojmowali, że te sosnowe deski mogły przedwcześnie stać się ostatnim mieszkaniem każdego, kto przeciwstawiał się nie skruszonej dotąd mocy.

[...] Po tym pogrzebie uczestniczyliśmy w jednej jeszcze żałobie. Naszej i niby nie naszej. Przyszły tłumy z całego Podbeskidzia. Pierwsze dni listopada były szare, przetykane siąpieniem pozaduszkowego deszczu. Nie było wielkiego pochodu za trumną, bo nie na bielskim cmentarzu miała ona spocząć. Przyszły gromady towarzyszy z pepesowskich organizacji a z nimi my z kapepowskich komórek, przyszli TUR-owcy i OMTUR-owcy. Na placu Blichowym, przed Domem Robotniczym, tłoczyli się wszyscy, którzy pragnęli oddać hołd premierowi pierwszego ludowego rządu w odrodzonej Rzeczypospolitej, ci, co pamiętali jego lubelskie dni sprzed osiemnastu lat, i ci, co tylko o nich słyszeli. Przyszli pokłonić się wszyscy, którzy wierzyli mu cały czas, i ci, co od jego haseł odchodzili, bo im nie wystarczyły i nie widzieli w nich nadziei na spełnienie swych pragnień. Wspinali się po schodach ku wielkiej sali klasowych związków zawodowych, a ja z buczkowickimi socjalistami i naszymi człapałem za Władkiem Foltyniakiem, który nam w tym dochodzeniu do wielkiego człowieka przewodził. Ignacy Daszyński, jak to jest przyjęte, leżał w trumnie ustawionej na podwyższeniu. Pierwszy i ostatni raz widziałem tę srebrzącą się głowę. Gdybym nawet nie wiedział, kto tam spoczywa — twarz była tak mało zmieniona, tak podobna do tej z gazetowych fotografii i filmowych kronik Polskiej Agencji Telegraficznej, że musiałbym poznać, przed kim defilujemy. Nie uratowali go bystrzańscy lekarze z długotrwałej choroby, nie utrzymali przy życiu, dlatego teraz, przed dalszą drogą, zatrzymał się w Bielsku, w Domu Robotniczym na Blichu. My, którzy okrążaliśmy robotniczego przywódcę, odczuwaliśmy między sobą większe zespolenie niż za jego życia. Może z nim kończyła się jedna epoka, a zaczynała nowa? — pytałem siebie. Potem dopiero pojąłem, że człowiek z zamkniętymi powiekami niczego nie mógłby już wytyczyć z tego, co zaniedbał, albo inaczej rozumiał, ani też zawrócić biegu niespokojnego czasu.

Minęły miesiące i tak odszedł od nas rok dobry i niedobry zarazem, i znowu — jak na Szczepana i po Gwiazdce — chodzili po Beskidzie przebierańcy ze swoim śpiewaniem. Słuchałem ich niefrasobliwego ujkania, ale więcej było we mnie przeszłego, niż tego, co miało nadejść, a było niewiadome. Oni jednak swoje odprawiali po chałupach. Także i w naszej, również i w sąsiedzkiej Grabicowej.

[...] Było we mnie to przeszłe bo w starym roku rozkwitły i zwiędły najlepsze moje i Reski nadzieje. Nie od razu jej to potrafiłem powiedzieć. Jeszcze w Bielsku, gdy przychodziłem do Deutschów, milczałem. W pierwszą sobotę po zakończeniu strajku, gdy wreszcie Teresa przyszła na niedzielę do Jedlińca, musiała oswoić się z wiadomością o moim zwolnieniu, a już po miesiącu sama została bez pracy. Tamtego lata nasze wieczorne spotkania były smutne, chociaż następowały godziny, kiedy w gniazdku na zboczu Skalitego, nad Międzybrzegami zapominaliśmy o naszej niedoli, bo należeliśmy, jak dawniej ,tylko do siebie, a świat nas nie obchodził. Wszystko, co przynosił nam w darze, przyjmowaliśmy, bo przychodziło od nas samych, co nam odbierał, oddalaliśmy z pamięci, bo na to nie mieliśmy wpływu. Reska nigdy tego mi nie powiedziała, ale wydawało mi się, że myśli podobnie jak moja babka. Sądzi pewnie: mogłeś posady nie stracić, bo czy musiałeś tak jawnie okazywać, kim naprawdę jesteś i narażać nasze szczęście? Potem, gdy sama została zwolniona za to, co uważała, że powinna robić, osądy te chyba zmieniła, bo nie słyszałem nawet zarzutów postawionych mi pośrednio. Chodziła jednak zasępiona. Były dni, gdy unikała spotkania, nie chciała się umówić, wykręcając się obowiązkami w chałupie, których dawniej z łatwością umiała uniknąć. Nieraz znikała nagle na długo, a nie znajdowała sensownego wytłumaczenia swojej nieobecności w Jedlińcu.

Również i ja opuszczałem wioskę. Bywało, że na trzy, pięć dni, ale ona wiedziała przynajmniej, że wysyła mnie Okręgowy albo Obwodowy Komitet Komunistycznej Partii Polski. Domyślała się moich zadań w buczkowickiej dzielnicy. Ja nie mogłem dowiedzieć się o jej zniknieniach niczego chyba że sam chciałbym uwierzyć w te nagłe odwiedziny u ciotek, dziadków i innych dalekich i bliższych krewnych. Mój niepokój narastał tym bardziej, im więcej w dni powrotu oddalała mnie od siebie. W wiele miesięcy później miałem dopiero coś niecoś z tego zrozumieć, a w końcu nabrać pewności, co w tym czasie w niej dojrzewało, co utorowało sobie drogę i przekształciło się w postanowienie wreszcie... Nie, nie dopuszczałem w tamtym dobrym i niedobrym roku nawet takiej myśli, nie było jej także przy mnie w noworoczny dzień i jeszcze długo później. W zachowaniu Tereski znajdowałem tylko rozdrażnienie i upadek ducha po naszej utracie pracy.

Myślałem wtedy, myślałem także w pierwszym dniu nowego roku, że miał chyba słuszność Jonek Prorok, gdy myślał wykorzystać gniew ludzki zgromadzony w ów lipcowy dzień na ulicach Bielska, tamtą żałość za odprowadzanym towarzyszem, bo już we wrześniu i październiku fabrykanci pokazali swoją siłę. Po cichu, po kryjomu, kogo tylko mogli, najbardziej tych, których ich słudzy zapamiętali, pojedynczo pozbawiali roboty. Próbował wybronić Teresę Foltyniak, ale przecież on sam był na liście i gdyby nie należał do Okręgowej Komisji Klasowych Związków Zawodowych, na pewno sam szukałby zajęcia. Nie pomogły więc jego zabiegi, ani starania Zawieruchy, Waszka i Hernika. Dyrektor Peltzman zapytywał: Czyżby właściciel nie miał prawa zatrudniać kogo sam pragnie, aby u niego pracował? Czyżby nie wolno mu było wypowiedzieć w ustalonym przepisami terminie? O jedną Teresę, o kilka innych kobiet, kto chciał w tym czasie znowu rozpoczynać walkę, a zastanawiano się nad tym, bo aresztowano także najdzielniejszych z czasu lenkowskiego strajku i wielu z tych, którzy walczyli pod fabryką Veslauka w Białej. Co jednak od braci Deutsch uzyskali, odebrać sobie nie pozwolili, a nie chcieli prowokować losu. Szukała znowu pracy Teresia, szukałem ja, ale pewnego jesiennego dnia popatrzyliśmy z rezygnacją na nasze obrączki, które już kupiłem, patrzyliśmy na nie smutni, bo wiedzieliśmy, że będą musiały długo jeszcze poleżeć u mamy w skrzyni. Ten Teresin płacz pamiętałem także poprzez kolędniczą wesołość.

[...] Tymczasem na wczorajszej sylwestrowej zabawie w Buczkowicach nadal byliśmy parą, której obrączki zamiast ozdabiać palce, spoczywały na dnie skrzyni. Rozumiałem swoją beznadziejność, bo odczuwałem w sobie to ponowne, bezowocne wystawanie w kolejkach przed bielskim magistratem i buczkowicką gminą, przed kantorkami fabryk i rządcami folwarków. Widziałem siebie znowu w postaci nauczyciela kalwaryjskiego, który wznosił za mnie nieskuteczne modły.

(Fragment powieści „Hejnał na całą Polskę")

Kamena str. 11

LUBELSKIE POWINOWACTWA

W roku 1978 Wojewódzka Biblioteka Publiczna im. Hieronima Łopacińskiego w Lublinie pozyskała od kilkudziesięciu pisarzy z całego kraju wypowiedzi o związkach ich biografii i twórczości z Lubelszczyzną. Planowano bowiem wydanie informatora na ten temat. Ponieważ edycja nie doszła do skutku, przeto — za zgodą autorów — publikujemy niektóre teksty (lub ich fragmenty) w wyborze i opracowaniu Macieja Podgórskiego i Jana Smolarza. Red.

JERZY KRZYSZTOŃ

OJCIEC mój i matka (z domu Ciurajówna) pochodzą z Lublina. Ojciec był inteligentem w pierwszym pokoleniu, rodzina jego wywodziła się z wsi, skąd dziadek mój przywędrował do Lublina, gdzie był woźnym w Trybunale. Ojciec ukończył studia na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, prawo i ekonomię. [...]

Rodzice moi mieszkali na ulicy Jezuickiej, tam się urodziłem 23 marca 1931 roku. Ale już w trzy lata później wyjechaliśmy do Grodna, gdzie ojciec otworzył kancelarię adwokacką; w październiku 1939 rou został aresztowany i zaginął bez wieści. W kwietniu 1940 r. wraz z matką, jej siostrą i moim bratem musieliśmy wyjechać do Kazachstanu. Wędrowaliśmy po świecie osiem lat. Wyjechaliśmy z ZSRR wraz z armią Andersa, byliśmy w Persji, cztery lata w Indiach, wreszcie w Afryce, w Ugandzie, skąd we troje — siostra matki zmarła tragicznie — wróciliśmy w lipcu 1948 roku do kraju. [...]

W rok po powrocie zdałem maturę w gimnazjum im. Staszica w Lublinie. Wkrótce debiutowałem w „Tygodniku Powszechnym", zacząłem także publikować w „Kamenie" i „Sztandarze Ludu" w dodatku literackim u K. A. Jaworskiego. Studiowałem na KUL-u polonistykę (3 lata), a dyplom magisterski zrobiłem z zakresu filologii angielskiej. Brałem wówczas aktywny udział w życiu literackim Lublina. W ówczesnym środowisku moimi preceptorami byli: prof. Feliks Araszkiewicz, Zbigniew Jakubik, Józef Nikodem Kłosowski, prof. Irena Sławińska.

Nie mając w Lublinie żadnych perspektyw pracy — z dyplomem kulowskim — wyjechałem w roku 1953 do Warszawy, gdzie już osiadłem na stałe, zabierając z Lublina żonę, która również studiowała polonistykę na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim.

Z Lublinem łączą mnie dość silne związki uczuciowe, choć — jeśli dobrze zliczyć — mieszkałem tam zaledwie osiem lat: trzy w dzieciństwie, a pięć — w młodości.

ANNA MARKOWA

LUBLIN jest moim miastem rodzinnym, zresztą nie tylko moim, ale całej mojej rodziny od wielu pokoleń. O ile orientuję się, w Bibliotece im. H. Łopacińskiego znajdują się również książki mojego dziadka — Henryka Wiercieńskiego oraz zestaw innych książek, ofiarowanych przez moją matkę, Henrykę Wiercieńską, po śmierci mojego ojca (w 1936 r.). Przed kilkoma laty ukazały się (nakładem Wydawnictwa Lubelskiego) „Pamiętniki" Henryka Wiercieńskiego, zarysowujące nader dokładnie historię związków mojej rodziny z regionem lubelskim.

Do roku 1959 mieszkałam w Lublinie, tu skończyłam studia na KUL-u (filologia polska), tu także zaczęłam pracę zawodową (kolejno — w Oddziale „Słowa Powszechnego", w „Kamenie" i wreszcie w Rozgłośni Polskiego Radia). Od 1959 r. przez siedemnaście lat mieszkałam i pracowałam na Śląsku, obecnie mieszkam w Białymstoku. Niezależnie od tych „wędrówek" po kraju, uważam Lublin za miasto moich — jeżeli można użyć tego słowa — „korzeni", za najbliższą mi „wewnętrzną ziemię". I tak już chyba pozostanie.

CZŁOWIEK ZWIERZĄT

Anna Bocian

O PROFESORZE Milerze krążą w Zamościu legendy. Ostatnim ich odbiciem był dowcip prima-aprilisowy na temat interwencji lwów u władz miasta w sprawie żywienia pensjonariuszy ogrodu zoologicznego. Dowcip ten był siódmą wodą po kisielu ugotowanym przez niejakiego Grabowskiego, następcy Stefana Milera na stanowisku kierownika ZOO. Pan Grabowski — postać niechlubnie wspominana przez sympatyków ZOO — nabył zwyczaju podbierania mięsa lwom na swoje prywatne bankiety — i to w czasach, gdy jeszcze było ono w sklepach. Ponieważ z tego powodu zwierzęta głodowały, pewnego dnia kierownik Grabowski wziął lwa na sznurek i poprowadził do radnych na Ratusz prosić o zwiększone przydziały. „To panowie żałują ci papu, Kiciu" — zwrócił się do lwa, pokazując mu przerażonych rajców.

Ten sam Grabowski, po wielu trudach wyeksmitowany ze stanowiska i z miasta, na odchodnym zostawił oplątanego wokół umywalki węża boa... Ale przybyszom, którzy nie znali osobiście Milera, wszystko jedno, kto wycinał tak świetne numery. Tylko przyjaciele zmarłego w 1962 roku profesora pracowicie protestują. Miler, owszem, miał fantazję i popędliwy charakter, ale i zasady.

Kim był właściwie Stefan Miler? Co można powiedzieć po osiemnastu latach o człowieku, który najlepsze swoje lata oddał zwierzętom. Profesor Michał Bojarczuk, uczeń Milera, jest osobą, która wie najwięcej:

— Preferans w sobotę, kawa i papierosy obowiązkowo — wspomina, jak by rozstali się zaledwie wczoraj. — Bogato wyposażony przez naturę: barczysty i silny. Dziesiąty człowiek, który zdobył Mont Blanc, a po Malczewskim autorze „Marii" — drugi Polak. Prostolinijny, uczciwy, z dużą wiedzą i jeszcze większą miłością do przyrody. Niepospolity. A patriota nie z tej ziemi...

Katalog cnót profesora Milera nie jest ubogi nawet z perspektywy lat. Jednak cnoty, jak to cnoty, drażnią zbytnią natarczywością. A Miler przecież normalny człowiek, z pierwszego małżeństwa mąż gimnazjalnej kucharki,, z drugiego — wdowy po sierżancie, przede wszystkim poświęcający czas ogrodowi zoologicznemu.

— Normalny, ale wtedy oczywiste było społeczne szaleństwo — powiedział Michał Bojarczuk, sam już w latach, a mimo to codziennie obecny w Studium Zaocznym UMCS. — Wtedy Zamość miał wiele indywidualności: bibliofil Zygmunt Klukowski, mecena. Henryk Rosiński, również wielki miłośnik książki, działacz społeczny i geograf Michał Pieszko, Adam Szczerbowski — krytyk literacki i poeta, Stanisław Młodożeniec... Jest kogo i co wymieniać: „Kronika powiatu zamojskiego", „Ziemia Zamojska", „Słowo Zamojskie", „Teka Zamojska"... i nikt honorariów nie brał. Mało inteligencji, ale za to jaka... No i z nimi Miler, żyjący w myśl zasady, że człowiek jest cząstką przyrody, utrzymujący, że kto potrafi się do niej dostosować, nabywa tych samych cech piękna, szczęścia i zdrowia.

Stefan Miler był nauczycielem przyrody w zamojskim gimnazjum im. Zamoyskiego. Przede wszystkim był widzącym i czującym przyrodnikiem, który kultywował zasadę budzenia zainteresowania i miłości do przyrody ojczystej, nastawienie jeszcze z czasów rozbiorowych.

Kiedy w 1916 roku przyjechał do Zamościa, miał za sobą kawałek wojowniczego życia. W 1905 roku wziął udział w strajku szkolnym w Kaliszu. Razem z grupą dwustu uczniów opuścił carską szkołę i przyłączył się do manifestujących robotników, wiecował na kaliskim cmentarzu pośród grobów. Był w delegacji domagającej się polskiej szkoły, dostał za to „wilczy bilet". Rozbrajał pod Kaliszem carskich żandarmów, trafił do więzienia, skąd uciekł i z fałszywą przepustką przyjechał do Krakowa. Po amnestii zdał w Kaliszu maturę, w 1908 roku już w polskiej szkole. Studiował biologię w Szwajcarii we Fryburgu i ukończył ję z najwyższą oceną. Pierwsza wojna światowa zastała go jako korepetytora w okolicach Chełma. W 1915 roku walczył w Legionach, został ranny i po leczeniu na Morawach przyjechał do Zamościa. Tak przedstawia się w skrócie życiorys człowieka, który po raz pierwszy zobaczył ogród zoologiczny na zapuszczonym przyszkolnym placyku.

W myśl sentencji Chestertona, że możesz sto razy przejść koło skrzynki pocztowej, ale grozi ci śmiertelne niebezpieczeństwo, że za sto pierwszym ją zauważysz — w 1920 roku zdarzyło się to Stefanowi Milerowi. Od tamtej pory bez zapłaty zdzierał ubrania na grządkach szkolnego ogródka botanicznego. Razem z nim codziennie pracowali do wieczora uczniowie gimnazjum Zamoyskiego i Konopnickiej. W tym samym roku wyhodowano 500 gatunków roślin, powstało terrarium z żółwiami, wężami, jaszczurkami i żabami, ul, gołębnik, deszczomierz i zegar słoneczny. Trzy lata później były trzy sarny, króliki, wiewiórki, białe myszki, papugi, rozrosło się terrarium. Zrobiono akwarium, przybyła jeszcze jedna pasieka. Powstał też projekt trzykrotnego powiększenia ogrodu i w oficjalnym piśmie do dyrekcji szkoły w sprawie 100 metrów dodatkowego ogrodzenia zostało stwierdzone, że ogród botaniczno-przyrodniczy, podobnie jak dotąd, będzie utrzymywała sama młodzież, a za parę lat nauka przyrody oprze się o bezwzględny pogląd wynikający z jej unaocznienia.

Popularność Stefana Milera wśród młodzieży była zadziwiająca. Dziś już nie można sobie wyobrazić tak konsekwentnego szaleństwa w szkole, które nie podlegałoby żadnym ograniczeniom ani zniechęceniu. Ogród ciągle był pełen uczniów, którzy w końcu bezwiednie uczyli się biologii oraz filozofii życia wynikającej ze znajomości przyrody. Cierpliwie robili preparaty, np. owady rozwojowo od jajeczek przez gąsienice, aż do dorosłych; pielęgnowali rośliny i zwierzęta i przede wszystkim patrzyli oraz słuchali.

„Przyroda to nie tylko otaczające nas zagadki bytu, zjawisk życia, to zarazem harmonia kształtów i barw obok przejawów niezmiennych praw i zamierzeń ku ciągłemu doskonaleniu. To źródło, które moralnie odradza, fizycznie krzepi, każe kochać wszystko, co piękne i słoneczne" — zanotował cytat z Milera Michał Bojarczuk we wspomnieniu o swoim profesorze. — „Walka o chleb sprawia, że nie czujemy się ogniwem świata natury. Nie wiemy, że cała kultura i cywilizacja powstały z wyzyskania sił przyrody".

Uczniowie szaleli. Wszyscy, którzy uczyli się przyrody, raz na pół roku do wyboru przynosili wiązkę koniczyny, garniec owsa, garniec pośladu, albo kwartę siemienia. Na szkolnych korytarzach stały skrzynki z pieczywem dla saren i ptaków. Urządzano loterie fantowe na rzecz klatek dla orłów i królikarni. Napływały też dary od społeczeństwa, z których wybudowano: studnię, zimowe akwarium z bieżącą wodą, wodotrysk. Zimą zaprowadzono zwyczaj dokarmiania saren miękkimi bułeczkami i wywożenia bocianów na wieś, ponieważ musiały być żywione myszami i mięsem. Wcześniej oczywiście przyzwyczajono bociany do mięsa, karmiąc je dżdżownicami... I ogród i gabinet biologiczny rozrastały się w szybkim tempie. W 1925 roku do gabinetu przybyło sześć mikroskopów, ogród doczekał się woźnego. W 1927 roku odwiedził ogród prezydent Rzeczypospolitej Ignacy Mościcki.

Sława zamojskiego, przyszkolnego ogrodu zoologicznego zataczała coraz większe kręgi. Dyrektorzy szkół na własny koszt przysyłali do Milera nauczycieli biologii, ogród i jego twórca byli wciąż nagradzani w Warszawie, w Poznaniu, we Lwowie. Na wzór Zamościa powstały szkolne ogrody w Lesznie, Częstochowie i Grodnie. A Stefan Miler z niezmąconym spokojem co rano przychodził do ogrodu, w którym czasem już sypiał. Ku radości zwiedzających ufundował tablicę pamięci jelenia, który padł w walce ze swoim pobratymcą o zew krwi. I jakby nigdy nic po swojemu pouczał uczniów za wycieczce: „Ostrożnie chodźcie i tylko ścieżką. Każda najmniejsza roślinka ma swoje życie, którego nie można deptać, jak nie można deptać ludzkiej godności".

— Ogród zoologiczny był jak bombonierka — wspomina Michał Bojarczuk. — W środku miasta Miler pokazał ludziom, co to jest piękno. A trzeba pamiętać, że wtedy Zamość był brudny i zaśmiecony. Zarośnięty budkami z wodą sodową, zapchany furmankami. Teraz przyjemnie jest smakować czystość renesansowej architektury, ale przedtem trzeba było ją wypatrywać!

Tymczasem ogród był coraz bogatszy i w świadomości otoczenia funkcjonował jako wybryk natury. W 1928 roku uskładano na parę niedźwiedzi. Niedzwiedzica sama wychodziła na kąpiel do stawu, niedźwiedź zabawiał się odbieraniem nieostrożnym wielbicielom palt, czapek, a nawet sandałów, teczki z wekslami lub książeczek do nabożeństwa. Radosne obcowanie z przyrodą uświetniały też inne ekscesy. Zaprzyjaźniony z Milerem wilk Rex, który na zawołanie skakał uczniom przez głowy, nie uszanował jednak głowy przedstawiciela ministerstwa i pożarł z niej lisią czapkę. Ale już oswojony, sześciomiesięczny ryś z Polesia, brany z klatki na lekcje, żeby się sam nie nudził, nawet sypiał z jednym z uczniów i dla zadania szyku bywał wożony na spacer do Warszawy. Zwierzęta oswajały się z ogrodem do tego stopnia, że gdy wyeksmitowano z klatki jastrzębia, na korzyść młodego orła, wypuszczony na wolność ptak za nic nie chciał przestać z niej korzystać. Bocian klekotał na rozkaz ,czapla przez trzy lata pamiętliwie dziobała ucznia, który ją uderzył, i czytając o tym wszystkim we wspomnieniu Michała Bojarczuka, można w końcu uwierzyć, że gdy Gestapo brało Milera — jeleń padł na anewryzm serca (jak donosi Kazimierz Brandys w książce o „Królach i kapuście").

Zasady tej koegzystencji ludzi i zwierząt można tylko tłumaczyć siłą uczucia i fantazją, jakiej nie brakowało obu stronom. Utrzymywano, że profesor Miler nawet dziką świnię potrafił podnieść na wyższy stopień kultury, tak silny miał wpływ wychowawczy. Ale też było prawdą, że gdy urodziły się pierwsze niedźwiadki, ogłosił amnestię dla wszystkich dwójkowiczów i utrzymał ją w mocy mimo niezadowolenia kuratorium. Dwójkarze zarabiali na poprawki dostarczaniem do ogrodu nawet i sześćdziesięciu żab. Czy można się dziwić, że gdy powstał problem nowego terrarium dla żółwia — uczniowie ukradli balię żonie austriackiego feldfebla? Gdy zaś było potrzebne nowe pomieszczenie na wiewiórek, a szyldwach, lekceważąc słabnącą monarchię austro-węgierską, poszedł na piwko — ku radości Milera uczniowie skradli mu budkę...

Spontaniczne funkcjonowanie ogrodu wbrew pozorom stało się dowodem na to, że mrówcza praca jednostek daje dzieła o nieprzemijającej wartości. Ale efekt ten wcale nie odbierał profesorowi witalności. Gdy w 1951 roku, w wyniku zaostrzającej się walki klas, miejscowa władza ogłosiła wyrywanie burżujskich korzeni i zdecydowano, że pomnik Zamoyskiego, który dotąd stał w ogrodzie, ma być rozbity — Miler czym prędzej go zakopał. Po aresztowaniu ostatniego ordynata zwierzynieckiego, Jana Tomasza Zamoyskiego, zdecydowano, że liceum nie może nazywać się od „faceta, który strzelał bażanty z Jagiełłą" i bardziej do twarzy mu będzie z Jankiem Krasickim. Wtedy na posiedzeniu rady pedagogicznej Stefan Miler huknął pięścią w stół i wrzasnął: „Protestuję jako Polak i socjalista". Popierając hetmana-bażanciarza, skazał się na zasłużoną emeryturę. Przeniesiono go do gorszego mieszkania i — jak niektórzy mówią — opłacił to wylewem, a następnie paraliżem. Ale uczniowie znowu nauczyli się, że człowiek nie żyje dla siebie. Niestety takich prawd plotki, odświętnie zwane legendami, nie kolportują. O wiele łatwiej powtarzać dowcipy o lwach niż o politycznych deklaracjach, zwłaszcza gdy ich efekty nie są zbyt zabawne...

PRZED ZJAZDEM ZLP

Rys. Z. Pytlik

Do zgody jeden krok

Henryk Pająk

NA plenum Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich (8 października) podjęto decyzję o zwołaniu XXI zjazdu delegatów ZLP. Przypadł on ostatecznie na 28—29 grudnia. Piszę „ostatecznie", ponieważ połowa składu plenum opowiadała się za 13—14 grudnia, druga za 28—29. Przeważyli zwolennicy atmosfery sylwestrowej, lecz nikt, z jednej czy drugiej strony, nie liczył na to, że na zjeździe przedsylwestrowym zjawi się w stroju karnawałowym. Co jednak nie wyklucza faktu, iż wielu delegatów zaopatrzy się w tradycyjne maseczki...

Dyskusja nad przyjęciem terminu zjazdu trwała około 2 godzin i nie zdradzę tajemnicy, gdy powiem, że **gra toczyła się w istocie o dwie sprawy: uprzedzić zjazd partii oraz — czy zwołać zjazd związku w terminie możliwie najwcześniejszym, czy też w terminie najpóźniejszym.**

Jedni chcieli zjazdu już w listopadzie, drudzy domagali się zjazdu w terminie normalnym, to znaczy około marca przyszłego roku. W połowie debaty sprawa utknęła w martwym punkcie. Zwolennicy kucia żelaza póki gorące widocznie uznali, iż nie uda się przeforsować listopada, zaś zwolennicy marca — że na tak dalekie opóźnienie tamci również nie pozwolą. I nie pomagały argumenty z jednej strony, że historia nie wybaczy nam zwłoki, oraz z drugiej że trzeba nabrać dystansu.

Zatrzymano się nad grudniem. Wtedy jedni zażądali 13—14, drudzy 28—29 grudnia. Wynik znany. Osobiście opowiedziałem się wówczas za 13—14, co wywołało pozytywne zdziwienie zwolenników kucia żelaza na gorąco i dyskretną dezorientację zwolenników dystansu. Pozwoliłem sobie na głośną kalkulację: dziś, na początku października nie możemy orzec, czy zjazd partii nie zostanie przyśpieszony przed proponowany termin styczniowy choćby na kuszącą rocznicę Kongresu Zjednoczeniowego — 15 grudnia, nie licząc jeszcze innych grudniowych paralell. Moje kalkulacje okazały się nietrafne, bo ostatecznie zjazd literatów odbyty nawet w lutym nie utraciłby atutu pierwszeństwa.

Rozumiem jednak obiekcje zwolenników kucia żelaza. Ileż to już razy stygło gwałtownie, nie pozwalając kowalom na złapanie drugiego oddechu. Po co jednak powoływać się na coś tak fideistycznego, jak nadzieja. Przecież w ciągu tych 35 lat i szeregu tąpnięć nigdy potem nie wracaliśmy do punktu wyjścia. Coś zawsze pozostawało pod stopą i nawet regres lat 1975—80 okazał niezbędny, aby wspiąć się ponad 1970. Im gorzej, tym lepiej, i w myśl tej starej przemienności natury można nawet zaryzykować tezę, że po cichu inspirowała ona poczynania niektórych dalekosiężnych decydentów. Czas pokaże.

• • •

Pisarze mają teraz oczy zwrócone na zjazd, na swój zjazd, i zdają się nie pamiętać, że jest to już XXI ze zjazdów, z których każdy budził jakieś nadzieje i emocje. Coś się jednak zmieniło. Taki np. Jerzy Putrament, uczestnik dwudziestu, teraz nie zmieścił się w liczącej 70 osób reprezentacji środowiska warszawskiego. Z kolei Andrzej Braun, który w Katowicach wprawił w osłupienie nawet „jastrzębi", teraz jest delegatem. Woroszylski, ten Manson pryszczatach, też zasiada na zjeździe. Co jest grane— pytają przechodnie. Pytania z gruntu naiwne. Zawsze przecież gra się jakąś partytutę, trzeba więc uważnie pytać o autorów, dopiero potem posłuchać melodii...

• • •

Są jednak niekwestionowane płaszczyzny porozumienia i zrozumienia, dzięki którym ekumeniczna idea „pacem in terris" może sprawić, iż XXI zjazd stanie się soborem sprawiedliwych i obiektywnych. Jedną z tych płaszczyzn jest ranga i miejsce literatury w życiu współczesnym i przyszłym kraju, a w szerszym zrozumieniu — miejsce i ranga kultury polskiej, pojmowanej jako jedna z podstawowych kategorii tak zwanej identyfikacji narodowej Polaków — kategorii jakby z lekka nacjonalistycznej na tle źle skrywanego kosmopolityzmu niektórych nacji i racji, lecz dla Polaków stosunkowo bezpiecznej dla zachowania owej identyfikacji...

Otóż chyba wszyscy delegaci pozostają zgodni co do tego, że wspomniana ranga i miejsce literatury osiągnęły dno. Gdyby zapuścić się w szczegóły rozgrzebywane przez prasę i telewizję z ostatnich miesięcy, nie starczyłoby miejsca w całym numerze „Kameny". A przecież jednym tchem trzeba je wymienić: **skarlałe nakłady na kulturę w ogóle, na literaturę w szczególności, katastrofa poligrafii, brak papieru na literaturę i podręczniki, głód książki, podejrzany status pisarza i działacza kultury, nędza placówek kultury, zwłaszcza bibliotek, nędza honorariów, matactwa w kalkulacji ekonomicznej nakładów i zysków z kultury. I wreszcie — cenzura.**

• • •

Gdy piszę te uwagi, jest 29 listopada — do czytelnika „Kameny" dotrą około 21 grudnia i w ten krótki czas może się wedrzeć cała epoka wydarzeń. Ale nie w kondycję cenzury. Wbrew pozorom nadchodzą dla niej czasy wcale niezłe. Dotąd, gdy wszystko było zakazane, jakże rzadkie miała sposobności do okazywania pozorów tolerancji i wielkoduszności, całymi latami powołując się na sporadyczne przykłady pozytywnych negocjacji i ustępstw. Teraz, skracając rozciągnięte linie frontu, okrzepnie, a jej trzy niekwestionowane bastiony staną się Okopami Świętej Trójcy.

• • •

Przez całe dziesiątki lat pisarze uchodzili za ludek najbardziej niesforny, wręcz buntowniczy. Słowo „literat" uchodziło za synonim politycznej infekcji. Nigdy nie za dużo było ostrożności w czytaniu ich tekstów do druku, nigdy za mało skreśleń, ingerencji, przeinaczeń i połajanek. Lista pisarzy trefnych wydłużyła się. Zbigniew Załuski na pewnej bardzo wysokiej naradzie nazwał ten stan sytuacją nie do zniesienia, na co sekretarz Łukaszewicz z dumą odparł, że przecież w tym kraju nie ma więźniów politycznych, co zapewne miało oznaczać, że lepiej więzić niewydane teksty, niż ich autorów.

Obecnie, gdy na tle ostatnich wydarzeń tamte teksty i wystąpienia literatów brzmią jak łagodne brzykanie komara, a rządy dusz dostały się praktycznie w ręce robotników, trudno będzie odzyskać literatom tamtą podejrzaną renomę, bo przecież „Lesio wszystko lub prawie wszystko pozałatwiał". Więźniów politycznych prawie nie ma, Miłosza można cytować do woli, mszy porannej wysłuchać w łóżku, na wiecu nawymyślać premierowi i dostać oklaski...

• • •

Nie zanosi się jednak na zjazd nudny i nijaki. Jest jeszcze, okrojona co prawda, lista spraw i tematów o sile wulkanu, spraw wewnątrzzwiązkowych i pozazwiązkowych wobec których nie sposób przejść obojętnie. Nowelizacji wymaga statut ZLP, trzeba zastanowić się nad statusem Kół Młodych, może nawet przywrócić kandydowanie do ZLP. **Trzeba wreszcie coś zrobić z kryteriami przyjęć do Związku — wiecznie naginanymi do personalnych potrzeb i przetargów, z napływem dziennikarzy, polonistów i historyków, a nawet zawodowych polityków. Oczyścić tej Wieży Babel metodą obcesowej weryfikacji przecież nie można, jak nie można np. wyrzucić z ZLP Ryszarda Wojny czy kilkunastu partyzantów, bo zaraz inni zakrzykną: a co robi w ZLP W. Bartoszewski czy A. Małachowski?**

• • •

Należy jeszcze raz pryncypialnie upomnieć się o los humanistyki, o nauczanie języka polskiego, literatury i historii Polski, o oczyszczenie podręczników z jednowymiarowych programów i manifestów na rzecz dotychczasowych białych plam w naszej historii, bo koniec końców taka będzie historia i literatura w świadomości pokolenia, jakie jej nauczanie. Biorę bowiem podręcznik mojego syna z ósmej klasy i oczom nie wierzę: jeśli nie pójdzie do szkoły średniej i na tym podręczniku zakończy swoją edukację, to na całe życie wyniesie przekonanie, że historia najnowsza jego ojczyzny składa się z historii ruchu robotniczego, dyktatury Piłsudskiego i walki i imperializmem.

• • •

Dojdzie na zjeździe do przeuroczych pyskówek i „nieodpowiedzialnych wystąpień", lecz najsympatyczniej zapowiadają się wybory do władz, to znaczy walka o władzę w związku. **Gra o władzę jest tu bowiem ewidentną walką polityczną o ewidentną władzę polityczną w tej ważnej (mimo wszystko) grupie twórców kultury — targowisko napawające odrazą wielu twórców trzymających się z dala od tego wszystkiego i uporczywie broniących się od zaciągu pod te czy inne sztandary.**

• • •

Kto będzie prezesem literatów? — pytają mnie znajomi takim tonem, jakby od tego człowieka zależały przyszłe losy literatury polskiej. Kto to wie? Putrament — mówią — bez formy, poza tym mocno partyjny. Kuśniewicz nie chciał, Zalewski za miękki, Myśliwski i Sito za młodzi, Hertz zbyt wyniosły, Terlecki niepopularny, Bratkowski już zajęty, Krasiński nieokreślony, Hołda patetyczny i rozczarowany, Prorok zbyt wrzaskliwy. Może J. J. Szczepański? Po co tu zresztą zda się wywoływanie cieni, skoro niewielu z nich zostało delegatami na zjazd i utracili szanse na wybór, z wyjątkiem Szczepańskiego i kilku innych. Szczepański by się najlepiej nadawał jest pryncypialny i cechuje go myślenie „globalne". Niezły byłby Czesław Miłosz — lecz nie należy do ZLP poza tym ostatnio stracił sympatię Andrzejewskiego. Ostatecznie można by jeszcze sięgnąć po któregoś z wypróbowanych „jastrzębi", lecz galeria z lewej strony sali Domu Nauczyciela w Warszawie, gdzie ma odbyć się zjazd, chyba jeszcze będzie miała coś do powiedzenia.

Może ktoś z prowincji? Zupełnie nierealne. Zadaniem prowincji jest opłacać składki w terminie i cieszyć się, gdy zdoła wcisnąć się do kilku drugorzędnych komisji, oczywiście z nikłymi szansami na komisję stypendialną, kwalifikacyjną, czy wyjazdów zagranicznych. **Tych kilkunastu prezesów oddziałów, statutowo wchodzących w skład plenum ZG, wywołuje coraz większe zniecierpliwienie stolicy: przy przyjęciach do ZLP głosują na swoich, kreśląc wielu kandydatów warszawskich przyjmowanych za czytanki dla dzieci, próbują się zmawiać, mieć własne zdanie, krytykować rozdział stypendiów, pożyczek, wyjazdów dolarowych. Coś z nimi trzeba zrobić — rozmyśla ostatnio pewna grupa warszawskich delegatów na zjazd i proponuje, aby prezesi oddziałów przestali automatycznie wchodzić w skład plenum. Trzeba też odebrać im prawo głosowania w sprawie przyjęć do ZLP i zachować to prawo tylko tym prezesom, którzy wejdą w skład Prezydium. Taka to demokracja związkowa marzy się pewnej zwartej grupie delegatów warszawskich. Ano, zobaczymy.**

• • •

Z jaką siłą zabrzmi głos pisarzy w tych ostatnich dniach być może przełomowego dla przyszłości kraju 1980 roku? Czy nie utonie w ogólnej fali radykalizmu grup społecznych i związków, które w spontanicznym, lawinowym nawrocie ku demokratyzacji prześcigają się w programach odnowy?

Jedno jest pewne: w tym, co zdarzyło się dotąd na drodze odnowy i co jeszcze się zdarzy, tkwi niebagatelna część wieloletniej walki polskich twórców o wolność słowa, o wolność postaw i światopoglądów, o polskość naszej kultury i obronę tradycji narodowych. Z konfliktu z tymi dążeniami brały się wszystkie bolesne meandry powojennej literatury i jej twórców, bowiem niezależnie od zmienności trendów politycznych, rozczarowań do kolejnych ekip i papierowych programów społeczno-politycznych — pisarze zawsze, w znakomitej większości stali najpierw po stronie prawdy, a dopiero potem po stronie realności i nakazów sytuacji. Pewne jest również i to, że niezależnie od różnic politycznych i światopoglądowych, a nawet rozbieżności celów związkowych pewnej części środowiska literackiego — na zjeździe swoim wykaże ono jedność i potwierdzi swoją wielką siłę moralną, tę samą, dzięki której literatura polska zawsze pozostaje głosem narodu w obronie jego godności i bytu.

• • •

Wiele zależeć będzie jednak od tego, z jakim, skutkiem zostanie wysłuchany ten zbiorowy głos współczesnej polskiej literatury, z jakimi intencjami. Nie trzeba już mnożyć raportów o stanie kultury, książki, oświaty. One już są, powstały już wtedy, gdy mówienie o nich było nieskuteczne, a nawet niebezpieczne. Niepotrzebne będą również obietnice, których nigdy nie brakowało na dwudziestu poprzednich zjazdach pisarzy.

Potrzebne są konkretne decyzje odnowy, odblokowanie hamulców zaufania do środowisk twórczych, potrzebne są nakłady materialne i inwestycje duchowe.

Zza barykady niechęci, wrogości, lekceważenia i przemilczania, jakie były stałym udziałem życia pisarzy i egzystencji literatury, trzeba wyjść w tłum z wyciągniętą do zgody dłonią. Dotychczas tylko wołano, raz przymilnie, raz groźnie: kto chce do nas? Poza nielicznymi, tłum ani drgnął. W 1980 roku nagle, cały, nieoczekiwanie drgnął, ruszył do przodu. I stało się.

W KRĘGU ZAMOYSKIEGO

PRZESZŁO 20 lat Jerzy Kowalczyk zajmuje się problematyką zamojską. O założycielu miasta idealnego, o jego architekturze, urbanistyce, rzeźbie, malarstwie i grafice, o innych kwestiach szczegółowych z zakresu kultury artystycznej tej późnorenesansowej twierdzy Kowalczyk napisał wiele artykułów dla periodyków naukowych, poświęconych historii sztuki polskiej. Publikował ponadto rozprawy w czasopismach zagranicznych, wygłaszał referaty na konferencjach międzynarodowych.

Najbardziej ceniona w środowisku specjalistów jest chyba jego monografia „Kolegiata w Zamościu", wydana w Warszawie w 1968 roku i licząca 219 stron oraz 156 ilustracji. Jest to dziś jedna z tych pozycji, z którymi musi zapoznać się każdy badacz przeszłości miasta założonego w 1580 roku przez kanclerza i hetmana wielkiego koronnego, a po 11 latach budowy mającego już 217 domów i około tysiąca mieszkańców.

W szerszych kręgach społecznych docent Jerzy Kowalczyk z Instytutu Sztuki PAN kojarzy się jednak z wydawnictwem innego rodzaju, a mianowicie z przewodnikiem „Zamość", opublikowanym po raz drugi w 1977 roku w stolicy. Zwracam uwagę na tę właśnie edycję, ponieważ jej przyjęcie przez recenzentów prasy literackiej i społeczno-kulturalnej, nie mówiąc o klienteli naszych księgarń, było niezwykłe. Omawiano przewodnik szeroko, wskazywano na szczęśliwe połączenie rzetelności wykładu z atrakcyjną formą i dobrym rytmem „oprowadzania po mieście". Stwierdzano wręcz, że takiego przewodnika od dawna nie było na naszym rynku.

Obecnie ukazała się kolejna książka Kowalczyka: „W kręgu kultury dworu Jana Zamoyskiego", opublikowana przez Wydawnictwo Lubelskie. Składa się ona z ośmiu artykułów, z których część była już drukowana w innej formie, a na tym nowym miejscu znalazła się po przeróbkach i uzupełnieniach. Chcąc krótko scharakteryzować treść książki, należy po prostu wskazać, że wszystkie kolejne szkice stanowią szczegółowe rozwinięcie niektórych tych problemów i tez, jakie formułuje autor w syntetycznej i otwierającej książkę rozprawie pod tytułem „Inicjatywy Jana Zamoyskiego na polu kultury artystycznej". W ten sposób nie otrzymaliśmy jakiegoś przypadkowego, luźnego zbioru kilku publikacji połączonych tzw. tematem wiodącym, lecz wydawnictwo merytorycznie spójne i plastycznie rekonstruujące wybrane i ważne przedsięwzięcia autora „Odezwy do Polaków" w obszarze teatru dramatycznego, widowisk parateatralnych, malarstwa, muzyki, mecenatu artystycznego, w którym to ujęciu mieści się coś niezwykle istotnego dla zrozumienia optyki kulturowej wielkiego fundatora, a mianowicie wykładnia teoretyczna jego poczynań, przejrzyście eksponowana przez Kowalczyka. Z książki dowiadujemy się, że Zamoyski cenił sobie m. in. „1. dbałość o wysoki poziom artystyczny, 2. zgodność z klasyczną teorią sztuki, 3. duży ładunek intelektualny, 4. programowość ideową, 5. dydaktyzm zwłaszcza sztuki religijnej".

„W kręgu kultury dworu Jana Zamoyskiego" to rzecz, naturalnie, o historii. Tymczasem lektura książki stale prowokuje całkiem współczesne pytania, mimo że autor skutecznie unika prób aktualizacji — nawet tych faktów czy wątków intelektualnych, które nadawałyby się do takiej operacji. Kowalczyk wie, zdaje się wiedzieć, że zabiegi tego rodzaju bywają efektowne, lecz częściej — efekciarskie i jeśli coś dają czytelnikowi „spoza branży", to jedynie asumpt do umocnienia się w potocznym przeświadczeniu o powtarzalności historii. Tymczasem, sprawa, jak wiemy, jest bardziej złożona. Niemniej jednak dają nam sporo do myślenia pewne fakty, czy raczej logicznie uporządkowane przez Kowalczyka ciągi faktów, określające postawę Zamoyskiego wobec sztuki i ciekawie rezonujące ze współczesnym doświadczeniem.

Otóż wielki polityk, możnowładca, człowiek wielce wpływowy i wykształcony, ideolog oraz, jak byśmy to dziś powiedzieli, decydent — Zamoyski wyjątkowo głęboko interweniował w treść i formę dzieł, które zamawiał u artystów. „Jego dyspozycje nie ograniczały się do określenia tematu — zauważa Kowalczyk — programu ikonograficznego, treści ideowych, ale rozciągały się również na sprawy artystyczne i technologiczne, jednym słowem — na sposób realizacji. Twórcy, skrępowani wolą i gustem fundatora, byli tylko wyrazicielami jego koncepcji ideowo-artystycznej".

Kiedy w 1599 roku zlecił przy pomocy pośredników namalowanie obrazów dla kończonej właśnie Kolegiaty, sam podsunął artyście ich ikonografię, opracowaną w szczegółach, a trzeba wiedzieć, że artystą tym był Domenico Tintoretto, wybitna postać szuki weneckiej, ciesząca się ogromnym wzięciem u różnych zleceniodawców. Kiedy zaś Zamoyski doszedł do wniosku — na podstawie informacji pośredników — że mistrz niezbyt wiernie realizuje jego wskazówki, skierował do Wenecji list, który można uznać za kompletną recepturę malowania i reprymendę zarazem. Chcę otrzymać obrazy takie, jakie zamówiłem, a więc z mniejszą liczbą postaci — pisał. „Jeśli bowiem umieści się tam wielką ilość osób [...] — całość utraci jasność, postacie główne nie będą mogły być widziane przez lud wyraźnie — ze względu na wielkość kościoła i chóru. [...]. Druga sprawa, którą należy mieć na względzie, to to, że napisałem, iżby obrazy były z cedru lub cyprysu, ponieważ te drewna nie są podległe zepsuciu i robactwu w takim stopniu jak inne".

Za czasów Zamoyskiego sztukę traktowano jako narzędzie propagandy, manipulacji ideologicznej, apoteozy fundatora (w czym właśnie celował hetman) i twórczość taka tkwiła w ewnątrz społeczeństwa. Od połowy XIX stulecia sztuka zaczęła zdobywać autonomię, aby kończyć na osiągnięciu pełnej wolności w naszych czasach, a jednocześnie zyskać w społeczeństwie status jakby dwuznaczny, bywa że podejrzany. Ale czy z tej konfrontacji można wyciągać jakieś praktyczne wnioski, skoro wiadomo, iż historia się zmienia, sztuka też, a na dodatek są jeszcze obszerne miejsca w świecie, w których malarstwo czy rzeźba pełnią tzw. funkcje służebne?!

Uczciwa pod względem naukowym, oparta niejednokrotnie na odkrytych przez autora materiałach źródłowych, napisana jasno i potoczyście — książka Jerzego Kowalczyka nie tylko rekonstruuje intrygującą i ważną dla Polaków przeszłość ale jednocześnie skłania do różnych refleksji, m. in. na temat roli wielkich indywidualności dziejowych w rozwoju kultury artystycznej.

A zatem na koncie Zamojskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, zleceniodawcy tej książki, możemy odnotować pozycję wartościową.

W publikacji podobać się też będzie jej opracowanie graficzne, projektu M. Pciona, natomiast zupełnie inne emocje wzbudzi zapewnie technika reprodukcji fotograficznych oraz cena 100 zł za każdy z trzech tysięcy egzemplarzy nakładu.

Ireneusz J. Kamiński

Exodus wychodzi z cienia

Istvan Grabowski

POLSKI rock nie jest jakąś specjalną kategorią muzyczną, zjawiskiem o własnych, charakterystycznych cechach. W zasadzie stanowi on wierną kopię prądów i dążeń artystycznych zaznaczających się w produkcjach brytyjskich i amerykańskich grup muzycznych. Polski rock jest w stanie przyciągnąć młodego odbiorcę swą prostotą i motoryką brzmienia, ale że potrafi zachwycać bogatą struktura harmoniczną i pięknem melodyki — tego nie przypuszczałem. A jednak...

Warszawski Exodus wydał niedawno płytę, którą śmiało polecić mogę najbardziej wymagającym melomanom. Zawarta w niej muzyka porusza wyobraźnię. Mowa oczywiście o premierowym longplayu Exodusu „Ten najpiękniejszy dzień", stanowiącym kwintesencję trzyletnich eksperymentów tego bardzo interesującego zespołu.

Dla przypomnienia — Exodus zorganizowali w styczniu 1977 roku bracia Andrzej i Wojciech Puczyńscy, absolwenci Politechniki Warszawskiej, którzy zrezygnowali z dyplomów inżynierskich dla magicznego świata dźwięków. Wcześniej byli żywo związani z działalnością studenckiego zespołu Źródło oraz Grupą Dominika. Decydując się na tworzenie własnej formacji, z góry zakładali jej eksperymentalny charakter. Zarówno Puczyńskim, jak i pozostałej trójce instrumentalistów (Władysławowi Komendarkowi, Pawłowi Biruli i Zbigniewowi Fykowi) marzyła się przygoda z muzyką mało w naszym kraju eksponowaną, a mianowicie symfonicznym rockiem. Początki nie były łatwe. Nikt jakoś nie kwapił się przygarnąć grupę nie grającą przebojów. Były poważne kłopoty z nagraniami radiowymi. Muzycy nie mieli gdzie grać.

Exodus właściwie wylansował się sam na fali zainteresowania dynamicznie rozwijającym się ruchem „Muzyka Młodej Generacji". Zespół wziął udział w pierwszej edycji MMG podczas Muzycznych Konfrontacji Pop Sesion 78 obok Kombi, Krzaka i Heamu. Podobał się bardzo, co spowodowało ponowne zaproszenie do Sopotu na rok przyszły i umieszczenie suity „Oda do nadziei" na specjalnej kasecie Wifonu (NK-516), reklamującej dorobek młodej generacji.

Od tamtej pory minęły dwa lata, których Exodus bynajmniej nie zmarnował. Bez obawy o urażenie kogokolwiek można stwierdzić, iż jest to w chwili obecnej najbardziej dojrzała twórczo formacja w gronie młodych wykonawców rocka, wyróżniająca się inwencją i zaskakująco bogatą w treści muzyką. Styl Exodusa najlepiej chyba określa rock symfoniczny. W jego brzmieniu odnajdujemy nawiązanie do muzyki Genesis i Yes z początków lat siedemdziesiątych, niemniej są to związki dość luźne. Albowiem w efekcie wielu prób i eksperymentów dźwiękowych udało się piątce instrumentalistów wypracować własne brzmienie, miękkie i klarowne. Grupa nie tworzy przebojów w tradycyjnym rozumieniu tego słowa. Jej kompozycje to dłuższe suity stanowiące zamkniętą muzycznie i literacko całość, o urozmaiconej fakturze dźwiękowej. I to właśnie wyróżnia Exodus wśród rodzimych wykonawców rocka.

Władysław Komendarek — organista Exodusu

Fot. Jacek Awukumowski

Muzyka ta nie szokuje odbiorcy bezładnym łomotem (charakterystycznym dla grup spod znaku heavy rocka), ubóstwem formy czy brakiem oryginalnych pomysłów, jakich to wrażeń doznajemy często, słuchając zespołów uzurpujących sobie prawo spadku po Hendrixie, Deep Purple, i amerykańskich wykonawcach West Coast. Decydując się na granie symfonicznego rocka, stanowiącego z założenia mniejszą lub większą trawestację klasyki, piątka Exodusa poznała doskonale różne pokłady muzyki, nie poprzestając jedynie na penetracji. Dzięki tej znajomości odnajdujmy w melodyce zespołu liczne nawiązania do muzyki barokowej i romantycznej. Wielocześciowe suity zaskakują słuchacza efektowną kolorystyką i rozwiniętą harmonią. Przy tym wszystkim muzycy nie rezygnują z dotychczasowych osiągnięć prominentów rocka, a nawet jazzu. W eklektycznym brzmieniu kwintetu funkcjonują zarówno jazz, rock, jak i klasyka. Stąd też bierze się jego oryginalność i siła przebicia, których nie posiadają tradycyjne grupy rockowe.

Premierowy album Exodusa — „Ten najpiękniejszy dzień" — jest wypadkową kilkuletnich przemyśleń i żmudnych eksperymentów. Porównując go z wcześniejszymi nagraniami zespołu, jak choćby „Oda do nadziei" czy „Ostatni teatrzyk objazdowy", dostrzec można znaczne postępy instrumentalistów w opanowaniu formy i dyscypliny wykonawczej. Aktualne utwory są mniej przegadane, bardziej spójne wewnętrznie, a tym samym ciekawsze w pomysły melodyczne i efekty brzmieniowe (zwłaszcza partii syntezatorowych, stopionych idealnie z podkładem sekcji rytmicznej).

Jedną stronę wydawnictwa wypełnia wspomniana suita „Ten najpiękniejszy dzień", odwołująca się w warstwie literackiej do odwiecznych poszukiwań człowieka wymarzonej Arkadii, szczęśliwej krainy bez wojen i konfliktów. Natomiast drugą stronę stanowi zamknięty logicznie cykl czterech kompozycji „Ci wybrani", „Noe", „Złoty promień słońca" i „Widok z góry najwyższej" o bardzo zróżnicowanej kolorystyce. Mamy tu więc miękkie ballady rockowe, kompozycje rodem z teki Arangelo Corelliego oraz fragmenty nasuwające skojrzenia z najpiękniejszymi zagraniami Jona Andersona i grupy Yes. Ta swoista mieszanka dźwiękowa doprawiona jest perfekcyjną grą całego zespołu, dozującego oszczędnie solówki poszczególnych instrumentów. Całość stanowi zgrabna cacko urzekające romantycznym nastrojem i bardzo nowoczesną instrumentacją. Album Exodusa, zarejestrowany pod numerem SX 1934 — Muza, to jedno z najwybitniejszych wydawnictw Polskich Nagrań ostatnich lat. Doprawdy warto mu poświęcić nieco uwagi, by przekonać się, że i naszych muzyków stać na dzieła niezwykłe.

POCZTA literacka

K. Sz. Gniezno. Nużący barok staromodnych rekwizytów poetyckich, branych bezkrytycznie, stanowi patynę, która nie pozwala się przebić nielicznym własnym doznaniom. To właśnie te metafory, liry, sarkofagi, oczerety, tulipany i czarodziejskie czary tworzące sztuczny, papierowy ogród westchnień, sprawiają, że podmiot liryczny ustawia się w roli nimfy z okresu Młodej Polski czy zgoła — pseudoklasycyzmu. Wtórują temu sztuczne, przesadne przenośnie i patetyczne omówienia, zimne warknięcia rozwścieczonych gwiazd, w rumieńcach sadów gromowładni, woda smutnoczarna mogilnie głęboka. Po odrzuceniu tych poetyckich bibelotów może pojawi się szansa w rodzaju „przyjdzie wkrótce zarzucić żałobę na słowa". Czy tę ostatnią deklarację mam potraktować jako zapowiedź decyzji, czy jeszcze jedną (tym razem ładną) przenośnię?

Jolanta D. Wrocław. Dziękujemy za przekład notki o śmierci bułgarskiego pisarza Wasila Popowa. Studiując ten język, mogłaby Pani pobróbować sił w przekładach z tej literatury. Proszę coś przysłać, ale nie z bułgarskiej klasyki, np. wiersze jakiegoś młodego poety.

Anna Z. Działyń. „Dziś mając wielkie szczęście, dorwałam wasze czasopismo i po prostu wzięłam pióro i zaczęłam pisać". Pani Aniu! Czy Pani chce nas wpędzić w megalomanię? Z całej przesyłki na uwagę zasługuje jedynie list. Niech stracę, ale przytoczę kilka fragmentów: „Że też dopiero teraz zrozumiałam, że człowiek jest zlepkiem wszystkiego. Przecież niedawno inaczej myślałam. Pielęgnowałam w sobie piękno, dobroć! A teraz? Mam 21 lat i chętnie... Wiem, że wpadłam z stan egzaltacji. Zbyt często mi się to zdarza. Spoglądam na „papieruszki", które leżą bezwładnie. Wiersze, proza. Och, Aniu!... Wydaje mi się, że wszystko jest przeciwko mnie, nawet kwiaty smętnie schyliły głowy. Wstydzę się swoich myśli". Jakież słowa pociechy mogę skierować do 21-letniej dziewczyny, która wstydzi się nawet swoich myśli? Odwagi! Więcej bezwstydu!!! Właśnie tak, jak to przywołuje Pani w wierszu:

Miłość piękna, dobra
Miłość bezwstydna, obnażona

Niestety, korespondencyjnie tych spraw nie załatwimy...

Stefan P. Biłgoraj. Odradzam pisanie wierszy. To wszystko.

Danuta J. Międzyrzec Podlaski.

Zawstydzony świt po wydarzeniach nocy
zakrył welonem z mgły
roztwierające się ze zdumienia oczy.

Pisze się „otwierające" lub „rozwierające", lecz nie gramatyka tu ważna, a umiejętność poetyckiego przekazu wydarzeń nocy. Tej umiejętności tu brakuje. Chociaż jest coś przyjemnego w obrazie stodoły z wiersza „Zimowy wieczór":

Nakarmiona dobrym
słomianym latem, aż pękata
w futrze z gronostaja stodoła
idzie spać ukojona
skrzydłem świerkowego anioła

M. B. Stalowa Wola. Na uwagę zasługują: „Wiersz", „Na działce", „Świątki" oraz „Niepewność". W sumie — utwory najkrótsze, bazujące na lirycznej pointe, skromne w temacie, proste w konstrukcji, oparte na przelotnych wrażeniach codzienności. Tak trzymać, stale doskonaląc glebie refleksji. Nie zatrzymuję ich tylko z braku możliwości druku w przyzwoitym czasie.

Jerzy L. Kraków, Marian K. Komarów, Tomasz R. Gniezno, Paweł K. Łódź, Maria T. Kielce, Łukasz P. Puławy, Józef B. Wyszków — nie skorzystamy.

H. P.

EKRAN I WIDZ

Ratujmy repertuar!

CORAZ trudniej wybrać się do kina. Nie tylko ze względu na to, że budując wielkie osiedla mieszkaniowe, a zapominając o salach projekcyjnych, odsunięto ludzi na wiele kilometrów od istniejących w dawnych miejskich centrach kin (skazując ich zarazem na molocha telewizji), ale przede wszystkim z uwagi na stale pogarszający się repertuar.

W latach sześćdziesiątych mieliśmy jeden z lepszych na świecie repertuarów filmowych. Wprawdzie nie na wszystkie nowości i nowinki filmowe mogliśmy sobie ze względów finansowych pozwolić, ale w sumie — choć często z opóźnieniem — oglądaliśmy jednak światowe kino w jego najambitniejszym wydaniu. Wtedy to właśnie wykształciliśmy polską publiczność, rozbudziliśmy jej potrzeby i wymagania. Kiedy repertuar zaczął kuleć, mieliśmy o to najpierw pretensje do lokalnych przedsiębiorstw dystrybucyjnych; do dyrektorów Okręgowych Przedsiębiorstw Rozpowszechniania Filmów, że siedzą z założonymi rękami, że nie walczą gdzieś tam „w górze" o wydarcie dla swoich kin jak najlepszych filmów. Dzisiaj nie powiem na tych ludzi złego słowa w tym względzie, patrząc, jakiej ekwilibrystyki od pewnego czasu dokonują, aby sprawić wrażenie, iż repertuar wciąż przedstawia się atrakcyjnie. Jak żonglują wygranymi już dawno, kasowymi kiedyś tytułami, jak przyozdabiają coraz bardziej narastającą filmową szarzyznę, coraz bardziej nielicznymi ekranowymi „hitami". Ale — jak się to mówi — z próżnego i Salomon nie naleje...

Film polski ma ostatnio dobrą passę: „Constans" i „Kontrakt" Zanussiego ściągają do kin publiczność, to samo można powiedzieć o wznowieniach filmów Wajdy, Agnieszki Holland, Feliksa Falka czy Janusza Kijowskiego, panuje ogromne zainteresowanie pełnometrażowym dokumentem „Robotnicy 80" Chodakowskiego i Zajączkowskiego.

Znacznie gorzej przedstawia się sprawa repertuaru zagranicznego. Gorzej — to za słabo powiedziane: w znacznej części przedstawia się ona wręcz fatalnie. O ile produkcję krajów socjalistycznych oglądamy mniej więcej „na bieżąco" (choć dziwne się wydaje, że na przykład niezwykle interesujący film węgierski „Edukacja Very" Pala Gabora przeznaczono tylko dla dyskusyjnych klubów filmowych oraz kin studyjnych!), to liczba zakupów z tzw. drugiego obszaru płatniczego wygląda po prostu katastrofalnie. Niemal na palcach jednej ręki można policzyć zasługujące na większą uwagę filmy zachodnie, wyświetlane w naszych kinach w ciągu ostatniego półrocza. Na ich czele plasuje się przede wszystkim „Hair" Milosa Formana, „Powrót do domu" Hala Ashbyego, trochę przereklamowany „Chiński syndrom" Jamesa Bridgesa, niedoceniony przez publiczność „Manhattan" Woody Allena, bardzo kontrowersyjny „Przybywa jeździec" Alana J. Pakuli, no i wreszcie — „Rocky II" Sylvestra Stallone, któremu jednak daleko do poprzedniego „Rocky'ego". To były filmy amerykańskie. Z filmów włoskich można wymienić tylko „Próbę orkiestry" Felliniego, z hiszpańskich — „7 dni stycznia" Berdema. Reszta — owe włoskie „Rewolwery", brytyjskie „Dziedzictwa", francuskie „Cudze pieniądze" — nie są nawet godne wspomnienia. Ale przecież część tych filmów to zakupy z ubiegłego roku i z początku roku bieżącego. W rubryce „Nowe zakupy", prowadzonej przez „Filmowy Serwis Prasowy", trzeba w ciągu ostatniego półrocza niemal ze świecą szukać (wśród filmów rumuńskich, NRD-owskich, czechosłowackich, koreańskich i wietnamskich) pozycji ze wspomnianego już „drugiego obszaru".

Ostatnio Filmowa Rada Repertuarowa działająca przy Zjednoczeniu Rozpowszechniania Filmów w Warszawie wystąpiła do ministra Kultury i Sztuki Józefa Tejchmy z apelem, w którym czytamy m. in.: „minimalną liczbą filmów, która może zaspokoić potrzeby i oczekiwania polskiej widowni, jest 200 tytułów rocznie, w tym 100 z tak zwanego drugiego obszaru płatniczego. Filmowa Rada Repertuarowa stwierdza, że nie jest możliwa realizacja założeń polityki kulturalnej w warunkach ograniczenia repertuaru filmowego do 30 tytułów rocznie sprowadzanych z około 50 krajów drugiego obszaru, z którymi utrzymujemy wymianę kulturalną".

Do czego dołącza swój skromny głos rubryka filmowa „Ekran i widz".

M. D.

OKOLICE SZTUKI

Młodzi z Łodzi

PRZY końcu listopada odbyła się w Łodzi ogólnopolska impreza plastyczna „Sztuka Młodych" i po obejrzeniu malarstwa, grafiki, tkaniny, rzeźby, plakatu, performances oraz demonstracji konceptualnych ludzie zaczęli zastanawiać się, czy poza wyróżnikiem biologicznym coś jeszcze innego stanowić może o młodości artystycznej. Tak się bowiem złożyło, że łódzkie obrazy i inne rzeczy z reguły przywoływały na myśl twórczość już gdzieś kiedyś popełnioną, nie wyrażały pretensji do miana rewolucyjnych, nie podejmowały polemiki z tym, co zrealizowały starsze generacje. Słowem w różnych budynkach miasta włókniarzy panował spokój, ład prawie klasycystyczny, w tych mniejszych czy większych salkach wystawowych nie pojawił się problem artystyczny, o którym można by powiedzieć z czystym sumieniem, że stanowi jakieś ideologiczne samookreślenie lub nieśmiałe chociażby wyzwanie dla pokolenia ojców i starszych braci.

Dla mnie osobiście największym i zaskakującym brakiem „Sztuki Młodych" była nieobecność spraw politycznych. Pamiętam: w 1968 i w 1970 roku mimo rozkwitu cenzury to i owo z demonstracji warszawskich oraz z gdańskiego dramatu trafiało jednak na plansze graficzne czy obrazy ówczesnej młodzieży artystycznej. Teraz zaś panienki i kawalerowie nad ruchy społeczne — jak się okazuje — przedkładają malowanie pod: Kobzdeja(!), Pągowską, Baszkowskiego, jakby zapominając, że pierwszym obowiązkiem młodego artysty jest malować „pod życie", co oczywiście wcale nie znaczy, iż chodziłoby o bezrefleksyjne powielanie widoczków z owego życia. Z tym więc większą uwagą obejrzałem te nieliczne prace, które, nie wyczerpując swoich wartości na kombinacjach czystej formy, wskazywały na coś ważnego i tkwiącego w rzeczywistości społeczno-politycznej, czy choćby w obrębie zwyczajnej ludzkiej egzystencji.

Na czele zaś tej skromnej grupy umieściłbym zestaw Krzysztofa Bednarskiego, złożony z fotografii, tekstów i gipsowych głów. Pierwsza część przedstawiała teoretyczne rozważania autora na temat „zaangażowania", interpretowanego w duchu wcale nie uproszczonego Marksa, który powiedział niegdyś, że dzieło sztuki jest „projektem rewolucyjnym", a więc czymś skierowanym w przyszłość. W pobliżu tej wypowiedzi Bednarski pokazał zmultiplikowany „Totalny portret Karola Marksa", zrealizowany w oparciu o zdjęcia wcześniej wykonanych portretów autora „Kapitału" (wykonanych przez innych artystów). Aby jednak ktoś sobie nie pomyślał, że wszystko na tym polskim świecie jest najlepsze, Bednarski poinformował nas dużą fotografią obiektu, że ta właśnie granitowa rzeźba o wysokości 340 cm, przedstawiająca pięść ludzką zaciskającą między palcami płytkę metalową, została zdjęta bez wyjaśnienia przez władze Legnicy z wystawy poplenerowej „Osetnica 79"...

Konkret współczesny w różny zresztą sposób manifestował się na „Sztuce Młodych". W świetnych technikach mieszanych Andrzeja Okińczyca z Poznania pojawiał się nierzadko autoportret artysty podczas codziennej czynności, np. golenia się, natomiast „Europa" Daniela Wnuka okazała się wystąpieniem skierowanym głównie do słuchu publiczności „Teatru 77" i przekonującym ją, że powinna bronić się przed terrorem technik masowego przekazu, w tym przypadku radia, gdy tymczasem Małgorzata Chmielewska-Szulc wykonała na drutach lub patykach wnętrze damskie kameralne: z drzwiami (dzianina w ramie drewnianej) oknem, chodniczkiem z papciami, ogromnym krawatem na damskiej kiecce, naczyniami zdobnymi i autoportretem na ścianie. Wcześniej ta miękka dziewczęcość ujawniła się w identycznej formie na niedawnym „Dyplomie 80" w stołecznej „Zachęcie", wystawie — co ciekawe — wcale nie gorszej od „Sztuki Młodych", choć prezentującej wyłącznie tegorocznych absolwentów uczelni plastycznych.

Stanisław Górecki, Piotr Kmieć i Mikołaj Smoczyński to artyści lubelscy, jacy wystąpili w Łodzi: w taki sposób, że mogą być pewni zaproszeń na kolejne imprezy w rodzaju „Sztuki Młodych", które mimo wszystko są pożyteczne i bezwzględnie potrzebne ze względów informacyjno-poznawczych, także jako miejsce pierwszych promocji i kontaktów osobistych nowych pokoleń. Zresztą na pokazie grafiki w BWA, w sali Ośrodka Propagandy Sztuki oraz w hallu łódzkiej PWSSP (tu przede wszystkim) można było spotkać prace faktycznie nieprzeciętne. Było ich, powiedzmy, kilkanaście, ale jednak...

Ekspozycjom towarzyszyły wystąpienia teoretyczne.

I J K

KRONIKA

● Lubelscy górnicy świętowali swoją „Barbórkę". Podczas akademii w Garnizonowym Klubie Oficerskim wręczono odznaczenia państwowe i nagrody jubileuszowe. Tymczasem rozważane są trzy warianty rozbudowy LZW, czemu towarzyszą ostre dyskusje i kontrowersje. Dyrektor kopalń lubelskich poinformował prasę, że normalne uzyskiwanie węgla z pierwszej ściany wydobywczej powinno nastąpić przy końcu przyszłego roku. (W kolejnym numerze przedstawimy aktualną sytuację społeczną i gospodarczą na terenie LZW).

● „Kultura materialna Kazimierza" to nazwa wystawy etnograficznej, czynnej w Galerii Letniej tego miasta nad Wisłą. Przy okazji informujemy, że tamtejsze muzeum przygotowuje dużą wystawę monograficzną Jana Koszczyca - Witkiewicza, wybitnego architekta (styl zakopiański), konserwatora zabytków, a w młodości — działacza socjalistycznego, ściganego przez carską „ochranę".

● Przy końcu listopada Muzeum Okręgowe w Lublinie urządziło wystawę „Polski portret wojskowy od XVII do XIX w.". Warto obejrzeć.

● Pomyślnie rozwija się rewaloryzacja lubelskiego Starego Miasta, o czym informujemy na cudzą odpowiedzialność, jako że nigdy jeszcze nie zaproszono przedstawiciela „Kameny" na posiedzenie Rady Konserwatorskiej, choć takiej problematyce poświęcamy od dawna sporo uwagi, z reguły „czepiając się" tego i owego, np. Miejskiego Konserwatora Zabytków, któremu zresztą na niedawnej ogólnopolskiej konferencji na temat systemu ochrony zabytków w Polsce publicznie wyrażono votum nieufności.

● Kilogram wołowiny z kością — 100 zł, bez kości — 200 zł, słoniny — 160 zł, schabu — 240 zł, boczku surowego — 180 zł — oto ceny niektórych gatunków mięsa, obowiązujące na wolnym rynku lubelskim na początku grudnia. Za kilogram poszukiwanej cebuli płacono od 18 do 30 zł.

CZAS. 2552/1980/1-26

TAJEMNICE LUDZKIEJ NATURY (10)

Saint-Germain

Aleksander Mora

CZĘSTO nazywano go sfinksem osiemnastego wieku. Gdy w roku 1745 pojawił się w Anglii, Horacy Walpole scharakteryzował go w następujący sposób: *Cudownie śpiewa i gra na skrzypcach, komponuje, jest zwariowany i niezbyt mądry.*

Niektóre encyklopedie są nawet bardziej krytyczne w stosunku do tajemniczej postaci Saint-Germaina i często nazywają go po prostu *poszukiwaczem przygód* lub nawet *awanturnikiem*. Istnieje jednak ogromna różnica pomiędzy przyczepianiem komuś mniej lub więcej wymyślnej etykietki, a dokonaniem możliwie obiektywnych badań jego życia, działalności i charakteru. Większość niepochlebnych komentarzy na temat hrabiego pochodzi ze źródeł politycznych. Francuska policja sądziła na przykład, iż był on pruskim szpiegiem. Voltaire jednak miał zupełnie inny pogląd na osobę hrabiego de Saint-Germain; oświadczył on mianowicie, że *Saint-Germain jest człowiekiem, który posiadł wszelką wiedzę*. Karol von Hesse-Kassel nazwał Saint-Germaina *jednym z największych filozofów wszystkich czasów*.

Kiedy marszałek de Belle-Isle w roku 1749 przedstawił hrabiego Saint-Germain markizie de Pompadour oraz Ludwikowi XV, król przeżywał właśnie jeden ze swoich okresów melancholii i znudzenia. Jednak Madame de Pompadour zdała sobie natychmiast sprawę, że Saint-Germain może wyleczyć króla Francji z jego nastroju i przypadłości. Hrabia odbył bardzo wiele długich rozmów z królem i markizą na temat alchemii, nauki i filozofii. Marszałek de Belle-Isle barwnie opisuje pierwszą audiencję, jakiej król udzielił hrabiemu: *„Jeśli potrafisz spreparować eliksir życia lub znaleźć kamień filozoficzny, jesteśmy gotowi odkupić od ciebie recepturę. W międzyczasie będziesz mieszkał w moim pałacu i otrzymywał wynagrodzenie — rzekł Ludwik XV, dodając na zakończenie — ale nie powiedziałem, że wierzę w twoje zapewnienia, hrabio."*

„Nie potrzebuję ani pałacu, ani wynagrodzenia — odpowiedział oschle hrabia de Saint-Germain. — Przywożę ze sobą wszystkie niezbędne mi środki, poczet służby i pieniądze potrzebne do wynajęcia domu". — Po czym zanurzył rękę w wielkiej, ozdobnie wyszywanej kieszeni swego surduta i wydobył z niej garść diamentów, kładąc je na inkrustowanej powierzchni stołu znajdującego się między nim a królem w luksusowym holu pałacu wersalskiego. „Proszę jego królewską mość o przyjęcie tego skromnego daru od swego oddanego sługi — dodał. — Oto te diamenty, które udało mi się wyprodukować za pomocą stosowanych przeze mnie metod".

W efekcie oddano do dyspozycji hrabiego pałac o 440 pokojach. Chateau de Chambord, gdzie znudzony król zaczął odkrywać radość płynącą z pracy twórczej, szczególnie w dziedzinie alchemii i chemii, pod opieką jednego z największych chemików owego czasu — hrabiego de Saint-Germain.

Casanova pisze w swoich słynnych „Memoires": *Ten monarcha, męczennik nudy, starał się znaleźć nieco radości lub zapomnienia, produkując barwniki. Według hrabiego de Saint-Germain, barwniki odkryte przez króla mogłyby mieć zbawienny wpływ na jakość francuskich wyrobów tekstylnych.*

Austriacki dyplomata Cobenzl, który był świadkiem owych eksperymentów prowadzonych przez króla i hrabiego, tak pisał:

Farbowanie jedwabi zostało udoskonalone w stopniu dotychczas zupełnie nieosiągalnym. To samo dotyczy farbowania wełny. Wszystkiego tego dokonano bez użycia takich naturalnych barwników jak koszenila czy indygo, lecz za pomocą najbardziej pospolitych ingredencji, a więc w konsekwencji bardzo tanich.

Chemiczne eksperymenty Ludwika XV i hrabiego de Saint-Germain z barwnikami — prawdopodobnie barwnikami anilinowymi — prowadzone były na długo przed ich rzeczywistym odkryciem, które miało miejsce w roku 1826 i zostało dokonane przez Unverdorbena.

Nie ma żadnych wątpliwości co do tego, że hrabia de Saint-Germain był nie tylko doskonałym chemikiem, lecz także alchemikiem. Londyńskie czasopismo „Chronicle" z 3 czerwca 1760 roku podaje: *Jedyne, co można słusznie powiedzieć, to przyznać, że ten gentleman jest nieznanym i nieszkodliwym cudzoziemcem, którego stać na bardzo duże wydatki, zaś źródło jego dochodów jest zupełnie nieznane. Z Niemiec przybył do Francji wraz z reputacją wielkiego alchemika, który dysponuje sekretnym proszkiem służącym mu jako uniwersalne lekarstwo. Krążą plotki, że ten cudzoziemiec potrafi wyrabiać złoto. Jego ogromne wydatki, przy braku jakichkolwiek znanych dochodów, wydają się potwierdzać ten pogląd.*

W dokumentach i wspomnieniach istnieje szereg fragmentów, które wydają się potwierdzać umiejętność de Saint-Germaina dokonywania transmutacji metali. Casanova podaje w swoich pamiętnikach. *Zapytał mnie, czy nie mam przy sobie jakiejś monety. Wyjąłem więc kilka sztuk i położyłem je na stole. Hrabia wstał i bez słowa wziął szczypcami z kominka płonący kawałek węgla, umieścił go na metalowej misce, po czym położył na węgiel dwunastosolową monetę wraz z jakimś małym ziarenkiem czarnej substancji. Zaczął następnie dmuchać na to, w wyniku czego całość w ciągu dwóch minut znajdowała się w płomieniu. „Proszę chwilę poczekać — powiedział alchemik — niech najpierw ostygnie". Kiedy ostygła, rzekł: „Proszę ją wziąć, należy do pana". Wziąłem monetę do ręki. Okazało się, że jest ona złota.*

Casanova nie uwierzył, że był świadkiem procesu transmutacji srebra na złoto, jednak inni pisali o tym z absolutnym przekonaniem.

Kiedy dworski kapelan w pałacu wersalskim zapytał hrabiego podejrzliwie czy prawdą jest iż zajmuje się on czarną magią, Saint-Germain odpowiedział, że w jego laboratorium nie wykonuje się prac związanych ze zjawiskami nadprzyrodzonymi, lecz prace chemiczne, które mogą przynieść ludzkości korzyść.

Według pani du Hausset, damy dworu markizy de Pompadour, *hrabia zapewniał, że potrafi hodować perły i nadawać im najpiękniejszy połysk.* Perły hodowano w Chinach już w XIII wieku. W wyniku swego długiego pobytu na dalekim wschodzie mógł on poznać sekrety chińskich jubilerów i nauczyć się sztucznej hodowli pereł.

Sain-Germain miał również opinię człowieka, który potrafi produkować diamenty, choć według dzisiejszej wiedzy nie do pojęcia jest, aby wytwarzał syntetyczne diamenty, jeśli uwzględni się ograniczone możliwości techniczne, jakimi hrabia mógł wówczas dysponować w swoim laboratorium w Chambord. Wiadomo, że przemiana węgla na tą jego postać, którą znamy pod nazwą diamentu wymaga ciśnień rzędu 300 ton na centymetr kwadratowy oraz temperatury około 2800 stopni.

Casanova jednak w swoich „Memoires" wspomina, że wielokrotnie słyszał od wiarygodnych osób związanych z dworem królewskim w Wersalu, iż Ludwik XV w towarzystwie hrabiego de Saint-Germain „stapiali" (łączyli) w jakiś sposób drobne diamenty o niewielkiej wartości otrzymując z nich duże o bardzo wysokiej piękności i cenie.

Jak awansować?

Jan Nowakowski

MÓJ znajomy, Kowalski, cichy, spokojny rejent, uważał, że ten nie jest prowincjuszem, kto czasami powie coś stosownego, co jest i ogólnie znane, i niebanalne. Przypomniał sobie powiedzenie Sokratesa: „Wiem, że nic nie wiem" i czekał na moment, w którym mógłby je wyartykułować. Pamiętał ze szkoły jeszcze, że cytat bądź „złota myśl" oceniane były bardzo wysoko. Tym chciał zarobić może na łagodniejsze spojrzenie zwierzchnika, może na więcej. Bywał roztargniony, czasami nie wykonał polecenia i wiedział, że to nie może być podstawą jego awansu.

Na ważnym zebraniu, na którym załoga rozpatrywała przyczyny złego funkcjonowania przedsiębiorstwa i nie tylko, postanowił zabrać głos. Wiedział, że jest to jedyny moment, w którym może zabłysnąć. Z uwagą obserwował szefa, jednak nie mógł znaleźć chwili, aby się włączyć.

W dyskusji padały głosy ostre i krytyczne. Narzekano na złą organizację pracy, na biurokratyzm, na wykorzystywanie służbowych stanowisk dla celów prywatnych.

Właściwie zebranie już się zakończyło, kiedy Kowalski wstał, spojrzał badawczo w oczy szefowi i już miał powiedzieć to co Sokrates przez wiekami, ale przestraszył się i zapomniał. Patrzył tylko i stał. Wreszcie przypomniał sobie, że w powiedzeniu tym jest wyraz „wiem", więc ze wzrokiem utkwionym w szefa wypalił: „A ja coś wiem" i siadł.

Teraz dyrektor się przestraszył. Bał się, żeby ten, jeżeli coś wie, nie paplał. Bo wiemy, jak teraz jest; NIK-i nie pomoże. Chciał mu czymś usta zawiązać. Zaraz po zebraniu poprosił Kowalskiego do gabinetu i zapytał nieśmiało: „Czy zadowoli pana podwyżka 1000 złotych?". Ale ten znowu tylko wybąkał: „A ja coś wiem!" bowiem nie mógł sobie przypomnieć, jak to właściwie brzmi. Dyrektor jeszcze raz popatrzył na referenta, ale Kowalski tylko stał z ponurą miną. Dyrektor pomyślał przez chwilę i mówi: „Panie Kowalski 1000 złotych i stanowisko kierownika działu, ale naprawdę więcej nie mogę i muszę mieć pańskie zapewnienie, że się dogadaliśmy". Kowalski był szczęśliwy. W tym momencie przypomniał sobie właściwe brzmienie i z uśmiechem powiedział: „Wiem, że nic nie wiem".

Dyrektor uścisnął mu rękę, poklepał po ramieniu, mrugnął znacząco i pożegnał. W drzwiach gabinetu rzucił do sekretarki: „Pani Krysiu, proszę kadrową".

Tak więc powiedzieć coś mądrego może się opłacić.

PRASA LUBELSKA PISAŁA

PRZED 97 LATY

● Ktoś zażartował sobie widocznie z jednego z pism warszawskich, które we wczorajszym numerze podaje następujące dla nas curiosum: „Z Lublina donoszą nam o zgrai awanturników dopuszczających się do licznych burd ulicznych. Żaden spokojny obywatel z brodą nie może przejść spokojnie; gdyż lotry natychmiast puszczają mu w brodę tak zwanego „bąka" przy czym i o bójki nie trudno. Halastra ta przywłaszczyła sobie przy tym prawo nabywania różnych przedmiotów w sklepach bez pieniędzy. Właściciel, stojąc w obronie swej własności, naraża się przy tej sposobności na awanturę, z której nie wychodzi cało. Miało już miejsce kilka większych awantur, które policja uspakajać musiała".

● W dowcipy Lublin bawić się zaczyna. Na rogach ulic nocy dzisiejszej rozlepiona została następująca plakata:

S. P.
Leopold
de Pombrisé

kawaler orderu św. Rocha, sekretarz ambasady arjańsko - pelagijskiej, opatrzony dobrą kolacją, dnia 50 miesiąca zasnął spokojnie. Uprasza się krewnych, kolegów i znajomych, by go nie budzić.

„Gazeta Lubelska"

PRZED 98 LATY

● 42-letni Scul Urger od dawna zajmuje się handlem drobiu. Ostatnio Urger przyjął sobie wspólnika, z którym jednak nie mógł się zgodzić. Wreszcie Urger coraz się z niezgodnym wspólnikiem. Między byłymi wspólnikami zapanowały naprężone stosunki, bowiem jeden drugiemu robił stale konkurencję, sprzedając drób taniej. Wreszcie w ubiegłą niedzielę między Urgerem a byłym wspólnikiem powstała kłótnia, która zamieniła się w bójkę. W czasie bójki przeciwnik zadał Urgerowi dwie rany nożem w ramię i w bok. Urgerowi udzielił pomocy lekarz Pogotowia Ratunkowego, zaś jego byłym wspólnikiem zaopiekowała się policja.

„Głos Lubelski"

Liga Przyjaciół Zwierząt wobec nadchodzących świąt. Święta blisko i każda z pań przemyśla już teraz, jaką rybę poda na wigilię i jaki drób zakupi na święta. W tym wesołym okresie świątecznym, gdy radośnie ubieramy naszym dzieciom choinkę i zakupujemy różne przysmaki, aby dogodzić naszemu łakomstwu, wspomnijmy też chwilkę jedną na los tych żyjących i podobne do nas odczuwających ból istot świata zwierzęcego, które oddadzą życie, aby nasze „menu" wypełnić. Czy nic dla nich zrobić nie możemy? Owszem, możemy odrobina dobrej woli i w tej ostatniej godzinie ulżyć ich losowi, możemy dopilnować aby nasze służące i kucharki przyniesione z targu ryby zabiły silnymi uderzeniami w głowę (najlepiej zrobić to drewnianym młotkiem), a nie skrobały i krajały je żywcem, co jest surowo zakazanym okrucieństwem. Drób najlepiej zabijać za pomocą ostrego tasaka opierając głowę ptaka na drewnianym pniaku lub ostatecznie na stole; odcina się ją jednym silnym uderzeniem tasaka. Powolne podrzynanie gardła, które pozwala długo męczyć się przytomnemu i świadomemu śmierci ptakowi, jest barbarzyństwem, którego trzeba unikać. A więc starajmy się uczynić śmierć możliwie lekką tym biednym istotom, a na pewno i święta tym milsze nam się wydadzą i Bóg za tę odrobinę litości błogosławić nam będzie.

„Głos Lubelski"

Wybrała Anna Orzechowska

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich. Założyciele Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.
Redaguje zespół: Maria Bechczyc-Rudnicka, Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Anna Bocian, Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński, Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego), Bronisław Kowalski, Henryk Pająk (kierownik działu literackiego), Waldemar Stępień (fotoreporter). Redaktor techniczny — Irena Komosa, korektor — Ewa Dybek.
Informacji o warunkach prenumeraty udzielają Oddziały RSW „Prasa — Książka — Ruch" i urzędy pocztowe. Cena prenumeraty rocznej — 78 zł. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153-201046-139-11; prenumerata ta jest droższa od prenumeraty krajowej o 90 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy.
Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. W sprawach literackich przyjmuje interesantów kierownik działu w poniedziałki w godz. 10—12 i piątki w godz. 14—16.
Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa — Książka — Ruch"; Kombinat Wydawniczo - Kolportażowy w Lublinie, ul. Jasna 8, tel. 253-38.
Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN w Lublinie, ul. Unicka 4. PL ISSN 0137-7108 Nr indeksu 36251 Adres redakcji: 20-028 Lublin, ul. Skłodowskiej 1/4.
Telefony: sekretariat, redaktor naczelny 236-83, sekretarz redakcji 318-83, dział publicystyki i literacki 275-38.
Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 231; polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.